MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 10. WARSZAWA, 9 MARCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

GDZIE OBOWIĄZEK?

NIE przebrzmiały jeszcze echa protestu, z jakim pośród społeczeństwa katolickiego w Polsce spotyka się polityka wyznaniowa i szkolna min. Czerwińskiego, a już prasa obozu „sanacyjnego“ popisuje się szczególniejszą gorliwością w trosce o los ofiar prześladowań religijnych w Rosji sowieckiej i obsypuje komplementami Stolicę Apostolską z powodu ostatniego orędzia Ojca Św., poświęconego tej sprawie. Przodują tutaj: znany z niedawnych wystąpień Boya - Mędrca na temat „dziewic konsystorskich“—„Kurjer Poranny”, oraz „Dzień Polski”, organ tego odłamu zachowawców, dla których kwestja wychowania religijnego młodzieży okazała się zagadnieniem zbyt nieznacznem i drobnem, ażeby zastrzeżenia w tej dziedzinie mogły w czemkolwiek wpływać na zmianę zasadniczego ich stanowiska wobec rządu, stanowiska, opartego na ideologji, którą najściślej bodaj sformułował był drugorzędny wprawdzie, ale może dlatego właśnie szczerszy od innych publicysta tego obozu, p. Jan Bobrzyński: „Ściągnąć należy rozbujałe fantazje mas na teren rzeczywistości i skłonić każdego obywatela do postawienia sobie fundamentalnego pytania: gdzie leży mój prawdziwy interes materjalny?“ (cyt. z broszury: „Odrodzenia Państwa przez objektywizm gospodarczy”, Warszawa 1927).

Dla dzienników „współpracujących z rządem” to niewątpliwie sposobność nielada: możność, bez narażenia się masonerji, wychwalania wielkoduszności Ojca Św. w sprawie, w której — jak zaznacza „Dzień Polski” — solidaryzują się z Jego stanowiskiem „wszelkie wyznania i partje polityczne, nie wyłączając wierzących Żydów i umiarkowanych trzeźwiejszych socjalistów”. Czy zaś u tych Żydów właśnie, ów nagły „idealizm” wytłumaczyć można wyłącznie wrażliwością na piękno moralne zasad, głoszonych przez Namiestnika Chrystusowego, czy gdy Papież woła o „wolność modlitwy”, im nie chodzi przedewszystkiem o „wolność handlu międzynarodowego”, o te sprawy niezręcznie już byłoby wypytywać organ stronnictwa, które chyba wspólność raczej ideałów gospodarczych niż religijnych nakłoniła do zasiadania w jednym klubie parlamentarnym z pp. Wiślickim i Kirschbraunem.

Możnaby też nie zastanawiać się bardziej szczegółowo nad motywami, które politykom i dziennikarzom obozu „sanacyjnego“ nakazywały zająć w powyższej kwestji takie, a nie inne stanowisko. Skoro jednakże niektórzy z nich skorzystali z okazji, aby próbować załatwić przytem swe porachunki z obozem narodowym i zarzucają mu w słowach brutalnych obojętność dla spraw Kościoła, a nawet „apostazję“(!), warto będzie — nie dla polemiki bynajmniej, bo ta przez styl i poziom prasy „sanacyjnej“ jest całkowicie uniemożliwiona, ale dla bliższego wyjaśnienia całej sprawy — skreślić w związku z powyższem zagadnieniem kilka uwag ogólnych, zasadniczych.

Najgłębsza prawda moralna zawarta jest w tym podstawowym nakazie etyki katolickiej, iż najważniejszym obowiązkiem jednostki ludzkiej jest przedewszystkiem zbawienie swojej własnej duszy. W tej zasadzie nie wypowiedział się, jak przypuszczali powierzchowni i naiwni krytycy, „egoizm“ czy nawet „indywidualizm“, stanowi ona jedynie naturalną konsekwencję religji pokory i odpowiedzialności moralnej: każda jednostka ludzka po-

siada wydzieloną sobie, mniejszą lub większą, określoną sferę oddziaływania, w której obowiązana jest pracować nad urzeczywistnieniem Ładu Bożego. Tylko za stan rzeczy w tym zakresie ponosi wobec Stwórcy odpowiedzialność.

Jeżeli z tego stanowiska spojrzeć na dzisiejszy stan rzeczy w Rosji sowieckiej, okaże się jasno, iż zakres politycznego oddziaływania katolików polskich na zmianę stosunków tamtejszych, może być jedynie bardzo niewielki. Oczywiście, każdy gorliwy katolik, dowiedziawszy się o położeniu obecnem w Rosji, modlić się będzie usilnie i za tamtejszych męczenników za wiarę, prosząc dla nich o łaskę wytrwania, i za oprawców ich, prosząc dla nich o łaskę nawrócenia — ale to jest dziedzina inna, dziedzina oddziaływania nadprzyrodzonego, artykuły zaś, czy to „Kurjera Porannego", czy „Dnia Polskiego" bynajmniej ducha na wyżyny modlitewne nie podnoszą. Na porządkowanie wewnętrznych stosunków w Rosji, drogą oddziaływania fizycznego, materjalnego, nie posiada natomiast Polska dzisiejsza ani sił ani warunków, pomijając nawet zasadnicze zupełnie zastrzeżenia co do wartości nawracania obcych narodów przy pomocy przymusu, sformułowane, jako polska doktryna w sporze z Zakonem Krzyżackim, jeszcze przez Pawła Włodkowica z Brudzenia w okresie soboru konstancjeńskiego. Prześladowania w Rosji mogą też w Polaku-katoliku wywołać uczucia smutku, litości, zgrozy, nie on jednakże ponosi za zbrodnie komisarzy moskiewskich odpowiedzialność moralną.

Inaczej zgoła przedstawia się zagadnienie, skoro chodzi o stosunki na terenie Polski. Tutaj naród polski jest, a przynajmniej powinien być od nikogo niezależnym panem w swojem państwie, tu za styl cywilizacyjny tego państwa, za jego oblicze moralne ponosi całkowitą, wyłączną odpowiedzialność. Tutaj naród polski nie może biernie regestrować wypadków, albo smucąc się niemi albo radując, tu już wszystko, co dokonywa się, zarówno złe, jak dobre, następuje czy to wskutek jego działalności, czy też jej zaniechania. Żaden Polak, w sumieniu swojem, od bezwzględnej odpowiedzialności moralnej za Państwo Polskie nie może, ani nie ma prawa się uchylić. I każdy Polak-katolik musi nakoniec wyraźnie odpowiedzieć sobie na pytanie: czy zachowaniem się swem, swojem stanowiskiem politycznem przyczynia się do utrwalenia charakteru Polski, jako państwa narodu katolickiego, i niezachwianie przeciwstawia się wszelkim dążeniom temu przeciwnym, czy też naodwrót przy zagadnieniach tych okazuje się gotowy do rozmaitych kompromisów, a to pod hasłem interesów gospodarczych, klasowych, grupowych, dla wyzyskania konjunktur przemijających, dla osobistych rachub i korzyści?

Zagadnienie jest tedy jasne, odpowiedź wyraźna. Nie należy tylko o obowiązkach katolika dowiadywać się od naczelnego publicysty „Kurjera Porannego", ani w „Dniu Polskim" poszukiwać wzorów nieugiętości w obronie dóbr... idealnych.

JAN REMBIELIŃSKI

O RÓŻNYCH FAZACH POLSKIEJ KULTURY

WYBITNĄ cechą dziejów naszej kultury jest przenoszenie się punktu jej ciężkości z jednych terenów na drugie. Zależy to w znacznej mierze od względów natury politycznej, przedewszystkiem od zmiany stolicy państwa, oraz od zdobyczy lub też strat terytorjalnych, ale prócz tych okoliczności decydują też względy natury społecznej, wreszcie momenty psychologiczne. Jeśli mówimy o punkcie ciężkości, to przenośnia ta nie oznacza bynajmniej jednego środowiska kulturalnego. Przeciwnie w różnych momentach naszych dziejów spotykamy po kilka takich ośrodków, ściśle zaś biorąc możemy w każdym poszczególnym okresie dostrzec takich centrów kulturalnych trzy, tak że za każdym razem powstaje jakgdyby trójkąt terytorjalny, w którym się ogniskuje kultura danego okresu. Jeśli się zaś zastanowimy bliżej nad ewolucją naszej kultury, dostrzec możemy łatwo jakgdyby kształt wachlarza, który te poszczególne trójkąty tworzą w swym ruchu postępowym.

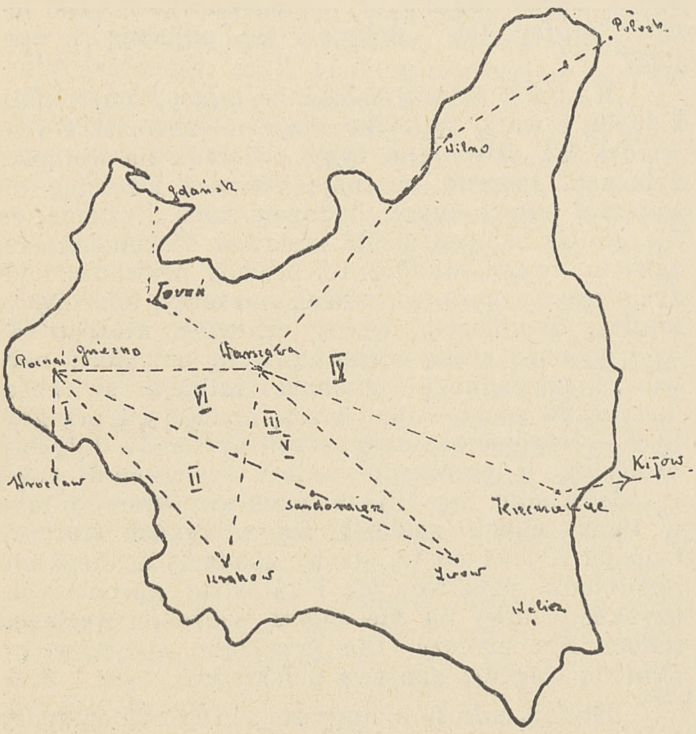
W zaraniu więc naszych dziejów tak historja, jak też kultura nasza skupia się w trójkącie pomiędzy Poznaniem (Gnieznem), Wrocławiem a Krakowem. Po szlaku: Wrocław — Gniezno przywędrowała do Polski Dąbrówka, po linji Poznań—Kraków podąża Chrobry, rozszerzając potęgę swego państwa.

Z biegiem czasu punkt ciężkości naszej kultury przenosi się jednak coraz bardziej na Wschód. Współcześnie ze zmniejszaniem się znaczenia kulturalnego Wrocławia i Śląska, wzrasta znaczenie Sandomierza, a gdy w w. XIV Śląsk definitywnie odpada od macierzy, Polska zyskuje Halicz i Lwów, i, nakształt rozwijającego się wachlarza, powstaje miast dawnego — trójkąt nowy, w którym się skupiają za Kazimierza Wielkiego nasze dzieje. Jest to trójkąt Poznań — Kraków — Lwów.

Gdy w r. 1526 wraca lenno mazowieckie w ręce Polski, wiązanie szczytowe trójkąta formuje się (odtąd już na stałe) — w Warszawie, czemu towarzyszy stopniowe zmniejszanie się znaczenia kulturalnego Poznania i wogóle Wielkopolski. W ten sposób powstaje nowy trójkąt, którego ramię zachodnie łączy dwie stolice: Kraków i Warszawę, zaś drugie się wyciąga na południo-wschód ku Lwowu, stopniowo jednak zwracając się coraz bardziej prosto na wschód, na Dzikie Pola oraz ku Kijowowi. Dogadzało to interesom naszych możnowładców, oraz było na rękę — Prusom, gdyż oczy narodu szlacheckiego były odwrócone od zachodu, tak że nawet ramię zachodnie, łączące jesz-

cze mocno w w. XVI Warszawę z Krakowem, stopniowo wiotczało, Kraków zaś stale upadał, stając się wreszcie w czasach stanisławowskich małą mieściną, gdzie były „trzy karczmy, bram cztery ułomki, klasztorów dziewięć, i gdzieniegdzie domki“.

Na schyłku w. XVIII i w pierwszej połowie XIX-go kultura nasza zamyka się przeważnie w nowym trójkącie, którego ramię północno-wschodnie ciągnie się z Warszawy ku Wilnu i ku Połockowi, zaś wschodnio-południowe przechodzi przez Krzemieniec na Ukrainę. Już najznakomitsi pisarze stanisławowscy, jak Naruszewicz, Karpiński, Kniaźnin, Bochomolec, Kołłątaj, Niemcewicz, Zabłocki, Woronicz — wywodzą się ze wschodnich ziem Rzeczypospolitej, zaś romantyzm był już zupełnym podbojem duchowym Polski przez jej elementy wschodnie (jak tego słusznie dowodzi Chlebowski), tak że „Małopolska i Wielkopolska, zmuszone do kapitulacji po bezskutecznej obronie swej kultury umysłowej przeciw nowym ideom i ideałom, biorą przez długi czas bardzo słaby udział w życiu literackiem i naukowem“ [1]).



Nader pouczające pod tym względem dane mogłaby nam dostarczyć statystyka ruchu wydawniczego w poszczególnych ziemiach polskich. Nie posiadamy, niestety, w tej dziedzinie liczb dokładnych, ale na podstawie prowizorycznej statystyki, zaczerpniętej z bibljografji Estreichera, możemy już wysnuć niektóre wnioski. Oto garść danych:

W l. 1794—1814 Ziemie t. zw. Zabrane wykazują 1483 pozycje, czyli 24,5% ogólnej produkcji wydawniczej polskiej, gdy ziemie zachodnie (zabór pruski), z Wrocławiem i Gdańskiem, tylko 470, co czyni 7,7%.

Nader ciekawe są niektóre dane szczegółowe. Tak n. p. Berdyczów może się popisać 65 pozycjami, Krzemieniec — 51, Łuck — 50, Mohylów n. Dnieprem — 16, Poczajów — 23, Połock — aż 122 (dzięki Jezuitom), gdy jednocześnie Płock posiada pozycyj ledwie 8, Bydgoszcz — 7, Toruń — 9, Lublin — 57, nawet Poznań tylko 152, gdy w tym samym czasie Wilno może się poszczycić liczbą 1049 książek, wydanych po polsku, co czyni 17,3% ogólnej produkcji tego czasu.

Podobnież w pierwszej połowie w. XIX Ziemie Zabrane, a zwłaszcza Wilno, wyraźnie górują nad zachodniemi dzielnicami Polski, np. do powstania listopadowego w Wilnie wychodzi więcej książek, niż w Krakowie i Lwowie razem [2]), ale koło połowy w. XIX, jeszcze przed powstaniem r. 1863, zaczyna się uwidoczniać w ewolucji kultury polskiej proces odwrotny: stopniowo jej punkt ciężkości opuszcza ów trójkąt, wyraźnie otwarty na wschód i ograniczony promieniami, łączącemi Warszawę z Wilnem i Krzemieńcem, przenoszac się coraz bardziej na południe. „Wiosna Ludów“ w r. 1848 objawia się w Krakowie liczbą aż 257 publikacyj, we Lwowie zaś niebywałą wprost pozycją 522 broszur i książek w ciągu jednego tylko roku, gdy w Wilnie czy Warszawie ruch wydawniczy pozostaje na tym samym poziomie [3]). Od tego też czasu obydwa centra galicyjskie wyprzedzają stale Wilno i ziemie wschodnie, zaś powstanie styczniowe i nieco późniejsza autonomja Galicji dokonywają stanowczego przesunięcia kultury polskiej w ramy trójkąta pomiędzy Warszawą, Krakowem i Lwowem. Równolegle zaś do zatamowania źródeł twórczości na terenach wschodnich budzą się stopniowo do życia ziemie zachodnie pod zaborem pruskim.

I znowu nadzwyczaj pouczające są liczby, ilustrujące ruch wydawniczy różnych środowisk polskich w l. 1864 — 83. Oto na Ziemiach Zabranych wychodzi w tym czasie niespełna 600 książek w jęz. polskim, czyli 1,3% ogólnej produkcji, gdy Kraków wydaje w tych latach aż 12228 (27,7%), Lwów — 7147 (16,2%), a na ziemiach zaboru pruskiego mamy 4067 pozycyj, czyli 9% ogólnej polskiej produkcji.

Liczby te nabierają szczególnej wymowy, jeśli zważymy, że poza Wilnem (516), Kijowem (64) i Żytomierzem (12), na ziemiach wschodnich książki polskie przestają wychodzić, gdyż tylko jeszcze Grodno i Mińsk wykazują po dwie pozycje każde, oraz Kamieniec i Nieśwież po jednej. Tymczasem proces wręcz odwrotny odbywa się pod zaborem pruskim, gdzie w l. 1864 — 93 Toruń może się poszczycić liczbą 209 wydanych książek, Gniezno — 144, Pelplin — 115, Wrocław — 108, Chełmno — 92, Piekary — 44, Gdańsk — 25, Brodnica — 20, Brunsberga — 14, Bydgoszcz — 12, Grodzisk 13, Grudziądz 9, Ełk 8, dalej Mikołów (Karol Miarka!) — 77, Bytom 61, Królewska Huta — 42, Katowice — 10 i t, d. Wreszcie Poznań wydaje w tym czasie 2907 książek, czyli niemal sześć razy tyle co Wilno. Zwrócić tu warto uwagę na okoliczność znamienną, że kultura polska w zaborze pruskim już od pół wieku ma tendencje wybitnie decentralistyczne i na schyłku wieku XIX-go obok Poznania istnieje przeszło trzydzieści takich miast i miasteczek, gdzie wychodzą polskie książki i czasopisma, gdy równocześnie Królestwo posiada tylko czternaście takich środowisk, a nawet Galicja zaledwie trzydzieści.

Jakkolwiek z powstaniem Polski do życia państwowego wszystkie nasze ośrodki kulturalne nabrały sił i weszły na normalne tory rozwoju, tak że wachlarz, o którym mówiliśmy, dziś widzimy

[1]) „Zadanie historji literatury polskiej—p. „P i s m a“ I, 54.

[2]) W l. 1804 - 33: Wilno 2237 t. zn. 18,3%, Kraków i Lwów — 1953, czyli 16%.

[3]) Rocznie około 150 w Warszawie, około 50 w Wilnie.

rozwinięty, jednak dlatego właśnie, że stan obecny jest rozwojem normalnym, coraz więcej twórczości kulturalnej wykazują te ziemie, gdzie żywioł polski jest wszechstronnie społecznie zróżniczkowany i czerpie soki z bytu ludowego.

Ogólna demokratyzacja, będąca procesem równie nieuniknionym jak zbawiennym, wraz z uprzemysłowieniem kraju, powoduje stopniowe przesunięcie naszej kultury na zachód, i dziś już są zapowiedzi, że w najbliższej przyszłości kultura nasza się skupi przedewszystkiem w trójkącie, którego jedno ramię łączy Kraków z Warszawą, zaś ramię drugie pójdzie od Warszawy do Poznania, a może nawet ku północy — do Gdańska.

Tak tedy widzimy, jak wachlarz kultury naszej rozwijał się z zachodu na wschód, by w ciągu wieku ostatniego odbyć drogę powrotną i znów się rozwinąć przedewszystkiem u tych źródeł piastowskich, z których kultura ta wyrosła przed wiekami. Dwa zwłaszcza imiona symbolizują najdokładniej istotę tej ewolucji, którą naród odbył: imiona Kasprowicza i Dmowskiego.

Wilno STANISŁAW CYWIŃSKI

TROFOLOGJA

CZY nie wywoła to w kim uśmieszku i podniesienia brwi, że w tygodniku, poświęconym „kulturze twórczości polskiej" jego krytyk od sztuk plastycznych, a czasem i od poezji zabiera się do pisania pod natchnieniem książki kucharskiej? Bo właśnie mam przed sobą dzieło p. t. „Kosowska kuchnia jarska", którego część pierwszą p. t. „Przepisy" napsała pani R. Tarnowska, a część drugą p. t. „Objaśnienia hygjeniczne"—dr. A. Tarnowski i... zamiast odesłać książkę jakiej szanownej pani Elżbiecie, postanowiłem zaniepokoić nią sumienia ogółu naszych czytelników. Ażeby zaś od pierwszych zaraz uwag ściśle nawiązać rzecz do „kultury twórczości polskiej", rozpocznę zdaleka, z bardzo daleka, i zwysoka, z bardzo wysoka, a jednak zbliska i zniska.

Najgórniejsze religje świata i najświatlejsze jego filozofje opierały metodę swoich wtajemniczem na hygjenie osobistej, a w pierwszym rzędzie na sposobach odżywiania się, które dają się do jednego słowa sprowadzić — do wstrzemięźliwości. Dlatego to nerwowy i lubujący się w paradoksach, ale czysty i górny poeta-filozof Fr. Nietzsche powiedział raz w gniewie: „Duch — to żołądek!" Paradoksami, niby drutem kolczastym, otaczał on ogród swój, by w nim nie ryli „idealiści i świnie". I ten paradoks posiada ostrze tylko dla gości nieproszonych, ale podstawą jego jest prawda: „Duch— to żołądek" — czy to nie najkrótsze streszczenie odpowiednich przepisów i postów w religjach — wedyjskiej, buddyjskiej, eleuzyjskiej, mahometańskiej, chrześcijańskiej? Streszczenie dosadne i trafne. Zresztą, znamy je i bez filozofji, w popularnej maksymie, że żołądek jest gospodarzem organizmu naszego.

Widocznie jednak popularne maksymy w obiegu swym ścierają się i tracą blaski wymowy, skoro dotychczas pod względem umiejętności odżywiania się jesteśmy ciemni, bodaj-że ciemniejsi, niż za czasów pierwotnych, czemu sprzyja cywilizacja, gdy spada na nieprzygotowanych. Najgorszy dziś gatunek człowieka — restaurator, zrzeszony w legalne związki zawodowych trucicielów, uzbrojony w wiedzę kucharskich efektów wszystkich narodów i epok, cywilizuje ogół miejski, aż do idealnego stanu nieuleczalnych katarów żołądka i kiszek. Wielkomiejski tryb życia, z owem obżeraniem się około północy, z ogólną przewagą potraw mięsnych, a upośledzeniem jarskich i mącznych, a na domiar — spirytus w tysiącu i jednej odmianach kolorowych — czynią w szeregach ludności miast spustoszenia, na których widok lub „wykres" włosy dęba powinny stanąć na głowie eugenisty. W Warszawie, w pewnych sferach, za przewodem sfer rządzących powtarza się ściśle epoka „króla Sasa". Czy mogą dobrze rządzić ludzie, którzy tak „dobrze" się objadają i opijają?

Rozum i wytrzymałość w pracy, hart ciała i ducha towarzyszą tylko wstrzemięźliwości. O tem wiedzą już szlachetne typy zwierząt, na wolności żyjących. Prawdę tę znają również i stosują do zwierząt szlachetnych hodowcy nasi... szkoda, że nie umieją samych siebie hodować. Z konieczności zawodu swego, według tej prawdy prowadzą tryb życia artyści cyrkowi, atleci, bokserzy, sportowcy, lotnicy, dyplomaci... Każdy człowiek, którego zawód wymaga stałej czujności woli, umysłu i nerwów, niezawodnego działania intuicji, świeżości instynktów musi — pod grozą upadków i przegranych — trzymać się najlepszych systemów hygjeny osobistej, a przedewszystkiem wstrzemięźliwości w odżywianiu się. Biada państwu, którego losy w danej chwili znalazły się w rękach obżercy i opoja! A jeśli od tej strony zbadamy dzieje wielu przełomów państwowych i katastrof narodowych, uzyskamy nowy na nie punkt widzenia, wcale od innych nie błahszy. Dla przykładu spójrzmy na minioną tragedję państwa polskiego.

Istnieją szkoły historyczne, które wiodą spory na temat przyczyn upadku Polski w wieku osiemnastym. Jedni skłonni są do przenoszenia punktu ciężkości tego zagadnienia nazewnątrz narodu polskiego, inni umieszczają go wewnątrz, jedni kładą główny nacisk na wadliwą budowę ówczesnego społeczeństwa polskiego, inni — na szereg błędów polityki państwowej. I tak dalej, w różnych odmianach i zestawieniach. Nie wyłączając żadnej z tych przyczyn, bo każda coś od siebie dodała, na miejsce poczestne wysunąć należy jedną jeszcze— bodaj-że rozstrzygającą — sprawność i wartość życiową tej warstwy, która wtedy Polską rządziła. Kilka w nieprzerwanej kolejności najbardziej zepsutych pokoleń szlachty i magnaterji, z reguły — obżerców i opojów, kierowało skołatanym już wtedy wozem Rzeczypospolitej, na domiar — po drogach wyboistych i poprzez bory opryszków pełne. Szlachta wieku osiemnastego Polskę przeżarła i przepiła.

Proszę przypomnieć sobie wszystkie barwne opisy o tych kontuszowych wieprzach, co to, leżąc pod czopem, beczkę wina do beczki brzucha włas-

nego jednym ciągiem przelewały, i o tych, którym Syrokomla taki pozostawił nagrobek liryczny: „Zjadł na śniadanie udo baranie i witych w cieście kałdunów dwieście. Tak z niestrawności doszedł wieczności“... i tu spoczywa, „aż głos anioła „wstawaj“ zawoła, bo już gotowa pieczeń wołowa!“. Czy tacy rządcy kraju mogli go nie zgubić? Nawet przy najbardziej pomyślnych okolicznościach zewnętrznych, pod takiemi rządami państwo tak czy owak runąć musiało. Rozum i wola giną zalane tłuszczem i spirytusem, giną w ohydnych wyziewach zgnilizny i czkawki pijackiej. Gdzież w tych warunkach mówić o odwadze, sprawności, wytrzymałości, odpowiedzialności, godności, o honorze, o wyobraźni społecznej i politycznej, o twórczości państwowej!? Można być pewnym, że gdyby w Polsce ówczesnej trzeźwi i wstrzemięźliwi u steru rządów stali, bieg zdarzeń innym poszedłby torem.

Skoro w podstawie najjaśniejszych religij i filozofij, skoro w założeniach osobistego przygotowania się do rządów państwami i społeczeństwami, skoro w warunkach sprawności wszystkich prac i zawodów leżą bezwiedne lub świadome zaczątki trofologji, czyli nauki o odżywianiu się, to jest ona również konieczna dla tych, którzy w jakikolwiek sposób chcą przyczyniać się do „kultury twórczości polskiej”. Stąd wniosek prosty, że na tych właśnie łamach jest miejsce dla oceny, a bodaj tylko dla reklamy, dla rozumowanej i uczciwej reklamy dzieła państwa Tarnawskich. Jak wiele innych spraw, odkryć i pomysłów ludzkich, tak i trofologja rozpoczęła się w sferach bardzo górnych, bo na szczytach założycielów wielkich religij, a stopniowo, przy wciąż rosnącym podziale pracy, przeszła wreszcie do rąk specjalistów, do laboratorjów chemicznych, do badań uczonych przyrodników, do klinik i pracowni lekarskich. Tu staje się nauką w ścisłem tego słowa znaczeniu i zyskuje coraz więcej danych do podźwignięcia człowieka na wyższy stopień jego rozwoju.

Nie będąc lekarzem, nie ośmielę się ani słowem ocenić lekarskiej wartości uwag i wywodów doktora A. Tarnawskiego. Tembardziej nie mogę zająć się oceną przepisów kucharskich, zgromadzonych i opracowanych przez panią doktorową. Ale posiadam niejakie prawa do oceny wniosków ostatecznych dzieła i ich stosunku do kultury ludzkiej. Dr. A. Tarnawski jest apostołem i praktycznym propagatorem idei wstrzemięźliwości w odżywianiu się, badaczem i twórcą naukowych jego metod, oraz zwolennikiem umiarkowanego jarstwa. W tym też kierunku ułożona jest pod jego nadzorem kosowska kuchnia jarska, która teraz, przy pomocy druku, z miłej hali lecznicy kosowskiej przechodzi na własność całego społeczeństwa polskiego. Całość ułożona w doskonałej budowie części i działów, jasna, prosta, czystym językiem i pięknym stylem napisana. Choć niema tu wielkich słów i szumnych zdań, na każdym kroku czuje się przyświecającą dziełu ideę udoskonalenia człowieka.

Idea ta, poruszająca wszystkich wielkich twórców ludzkości, w ostatnich czasach upraktycznia się coraz bardziej i specjalizuje się w gałęziach poszczególnych, przybierając wszędzie kształty badań, systemów i wskazań naukowych. Mamy więc już obecnie naukową organizację pracy, która rozszczepiła się na jeszcze mniejsze specjalności, jak np. naukowy system pracy fabrycznej, pracy biurowej, pracy umysłowej, szkolnej i t. d., a między innemi — naukowe metody gospodarstwa domowego. Do tej ostatniej dziedziny najbardziej zbliżona jest naukowa organizacja pracy kucharskiej— tego domowego laboratorjum chemicznego, od którego w tak wielkim stopniu zależy zdrowie, a zatem i szczęście rodzin i jednostek. Źródłem i podstawą kuchni świadomej swych zadań jest nauka o odżywianiu się, czyli trofologja — jeszcze w zaczątkach będąca, ale szybko z wielu stron badaniami uczonych lekarzów wzbogacona i systematyzowana.

Doktór Tarnawski zwraca w jednem miejscu książki swej uwagę na to, że w wielu uniwersytetach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej do przedmiotów wykładowych należy nietylko trofologja teoretyczna, ale i praktyczna umiejętność kucharska. Zwyczaj godny naśladowania! W Polsce w sposób wysoce lekkomyślny lekceważona jest kuchnia — nietylko wśród mężczyzn (choć lubią zjeść dobrze!), ale nawet wśród kobiet — tych naturalnych bożenek ogniska domowego. Należy tępić ten przesąd zastarzały i przestarzały. Człowiek współczesny, jeśli w fizycznych warunkach życiowych chce być naprawdę niezależnym, powinien, jak pionier w puszczy, umieć wszystko sam dla siebie przyrządzić. A w tym, coraz gęstszym tłumie ludzkim, jest się istotnie, jak w puszczy. Prócz tego, gdy ogół ludzki zrozumie i oceni znaczenie trofologji teoretycznej i praktycznej, pod naciskiem opinji da się unicestwić zbrodnicze typy restauratorów, którzy za sutą opłatą w biały dzień trują tysiące niewinnych „bliźnich“ swoich... pod osłoną patentów i oleandrów.

Dotychczas bronimy się przed tymi trucicielami przy pomocy dowcipów. Jest to raczej bezsilna zemsta, a nie obrona. Mimo to przytoczę tu, dla zobrazowania opinji, scenę z jakiejś szopki artystycznej. Był tam przedstawiony konkurs na najwyższą nagrodę z dziedziny chemji. Wśród wielu lalek uczonych wystąpił typ restauratora w czarnym uniformie grabarza kościelnego o gębie spasłej i szelmowskiej. Wyliczył rymami wszystkie kotlety, sznycle, rozbefy i pieczenie, które z różnych padlin fałszuje, a rzecz swoją takim dwuwierszem zakończył: „Bo, panowie, to nie bajka: ja fałszuję nawet jajka!“. Po naradzie sędziów konkursu najwyższą nagrodę z chemji otrzymał ów restaurator warszawski. Bajka sceniczna bardzo zbliżona do rzeczywistości...

Miejmy nadzieję, że nauka, którą praktycznie upowszechnia dzieło D-ra Tarnawskiego i jego małżonki, zostanie należycie przez ogół inteligencji naszej w doniosłości swej zrozumiana i poparta. Wprawdzie nasza prasa codzienna, zajęta (poza polityką) bójkami nożowców, kradzieżami z włamaniem i bez włamania, oraz napędzaniem polskiej publiczności do żydowskich lekarzów, nie dostrzegła wartości i wagi tej książki, jak i wielu innych, i zbyła ją w najlepszym razie wzmianką kilkuwierszową. Jednak publiczność czytająca o głowę, o trzy głowy, przerasta prasę codzienną i zaczyna już poza tą prasą szukać dla siebie wiadomości i oświetleń z dziedziny kultury.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

STANISŁAW HERAKLJUSZ LUBOMIRSKI

(PRÓBA WYJAŚNIENIA SPRZECZNOŚCI)

ANI jeden pisarz XVII wieku, nie wyłączając Krzysztofa Opalińskiego i Andrzeja Maksymiljana Fredry, nie cieszył się tak wielką poczytnością za życia i długo jeszcze po śmierci, jak marszałek wielki koronny Stanisław Herakljusz Lubomirski, „Salomon polski“ i „mądry marszałek“, jak go nazywali liczni wielbiciele jego mądrości.

W historji literatury polskiej zajmuje on bardzo wybitne stanowisko. Jego poemat „Tobjasz Wyzwolony” to przecie najpiękniejszy utwór polskiej epiki religijnej, o ileż piękniejszy od wielbionej w swoim czasie „Przenajświętszej Rodziny” Bohdana Zaleskiego! A „Rozmowy Artaksesa z Ewandrem“ to nie tylko jeden z najwybitniejszych utworów prozy staropolskiej, ale nadto dzieło, które, śmiało można powiedzieć, ocala honor myśli polskiej w drugiej połowie wieku XVII — w epoce, kiedy, dzięki ustawicznym wojnom za Jana Kazimierza i jego następców, polska kultura umysłowa, o estetycznej już nie mówiąc, szybko się staczała w tę przepaść, w którą się stoczyła w pierwszej połowie XVIII wieku, a z której wyciągnął ją dopiero Stanisław Konarski i Stanisław August.

Na zasługach Lubomirskiego, jako pisarza, poznał się już Brodziński; pomimo to późniejsza nauka polska bardzo mało zajmowała się jego postacią i pismami, a podręczniki historji literatury milczały o nim zupełnie. Ci zaś nieliczni badacze, którzy o twórczości jego pisali, nie mogli sobie jakoś dać rady z jego psychiką i, stwierdzając jeden za drugim jaskrawe w niej sprzeczności, nie umieli ich wyjaśnić.

Sprzeczności tych nikt lepiej nie stwierdził i nie scharakteryzował, niż Stanisław Tarnowski, który, o lat kilka wyprzedzając Brücknera, poświęcał Lubomirskiemu w swoich wykładach uniwersyteckich baczną uwagę i udzielił mu w swojej „Historji literatury polskiej“ sporo miejsca. St. H. Lubomirski—pisze Tarnowski—jest „zbiorem sprzeczności trudnych do zrozumienia i pogodzenia”, jest „psychologiczną zagadką, trudną do rozwiązania”. A nie idzie tutaj o sprzeczności pomiędzy poglądami na życie a jego praktyką, o to np., że był Lubomirski w jednej osobie szczerym wielbicielem cnoty i wyuzdanym rozpustnikiem, ani o to nawet, że on, który tyle mądrych myśli wypowiedział o szkodliwości fakcyj i osobistej ambicji, czynami swojemi zadawał kłam tym myślom: te i jeszcze inne sprzeczności wytłumaczyć łatwo — bujnym temperamentem, słabością woli i wogóle charakteru, oraz pychą magnacką. Idzie tutaj o sprzeczności wewnętrzne—pomiędzy myślami, nadewszystko zaś pomiędzy myślą a uczuciem, oraz pomiędzy wiarą a niewiarą. Roją się od takich sprzeczności pisma Lubomirskiego.

Czemże się one tłumaczą? Nie brakiem wyrobionej myśli, ani wogóle brakiem rozumu. Albowiem był to człowiek mądry, i to nie tylko dzięki książkom, które chciwie połykał, ale także dzięki pilnej obserwacji życia i rozmyślaniom nad życiem.

Swoją mądrość książkową zawdzięczał nietyle nauce szkolnej (u Jezuitów w Brunsberdze), ile późniejszej obfitej i różnorodnej lekturze. Pociągały go zwłaszcza dzieła historyczne i filozoficzne: z historyków rzymskich najbardziej lubił Tacyta, z myślicieli rzymskich — Senekę, z autorów greckich — Plutarcha, którego dzieła poznał w przekładach łacińskich, bo po grecku, jak się zdaje, nie umiał. Czytywał także uczone pisma nowszych autorów francuskich, angielskich, włoskich, hiszpańskich i holenderskich; szczególniej przypadł mu do gustu Montaigne. Znał i literaturę ojczystą, nietylką współczesną, ale i dawniejszą, np. Kromera i Orzechowskiego. To wszystko nie wystarczało mu jednak, zaspokajało bowiem tylko jego żądzę wiedzy; dla uczucia i wyobraźni szukał pokarmu w poezji, starożytnej zarówno, jak nowoczesnej: jego ulubionymi poetami starożytnymi byli: Owidjusz i Lukan, nowoczesnymi — Ariosto, Tasso i Marino. Kochanowskiego znał dobrze. Żywo także odczuwał piękno Starego Testamentu, zwłaszcza Ksiąg Salomona.

Wogóle oczytaniem i wiedzą górował „Salomon polski“ nad swojem społeczeństwem i w pismach swoich lubił się chwalić tą swoją wyższością, sypiąc, jak z rękawa, cytatami (czasem z tych nawet autorów, których pism sam nigdy na oczy nie widział!). Ale cóż z tego, kiedy wątpił, czy wiedza ludzka prowadzi do poznania prawdy, czy choćby najuczeńszy człowiek może coś wiedzieć napewno: dlatego to właśnie tak bardzo lubił Montaigne'a, który ciągle zadawał sobie pytanie: „Cóż ja wiem?“. A jakby mało było wątpliwości, co jest prawdą, a co ułudą lub fałszem, dręczył mu duszę inny jeszcze, o wiele gorszy, robak zwątpienia: oto nie wiedział czasami, zwłaszcza pod koniec życia, co dobre, a co złe, co uczciwe, a co niegodziwe — dla człowieka, co skuteczne, a co bezskuteczne, co pożyteczne, a co szkodliwe— dla ojczyzny.

Ten robak zwątpienia wkradł się w duszę Lubomirskiego nie z książek, tylko z życia. A było to życie bardzo bogate. W młodych latach wiele podróżował: zwiedził Niemcy, Włochy, Francję, a wszędzie, jako magnat polski, a do tego książę cesarstwa rzymskiego, miał dostęp do najwyższych, i najwykształceńszych sfer towarzyskich; potem, już w kraju, brał czynny udział w życiu publicznem, był podstolim koronnym, starostą spiskim, w r. 1670 na sejmie wrześniowym piastował laskę marszałkowską, a w sześć lat później Sobieski mianował go marszałkiem wielkim koronnym.

Nie brakowało mu więc sposobności do poznania ludzi i życia, ale cóż z tego, kiedy nad jego własnem życiem ciążyła jedna straszliwa klątwa, która mu ciągle kaleczyła duszę: oto jego rodzonym ojcem był Jerzy Lubomirski, ów magnat, który, dbając więcej o splendor swego świeżo upieczonego wielkopaństwa, aniżeli o Polskę, podwakroć ją zdradził, raz spiskując z Austrjakami przeciwko Janowi Kazimierzowi, drugi raz burząc przeciwko niemu szlachtę, i który na wyrok sądu sejmowego, skazujący go na utratę urzędów, infamję i banicję, odpowiedział rokoszem. Syn, chowany, jak często bywa w naszych rodzinach magnackich, w psiem posłuszeństwie dla ojca, w ślepej wierze w jego dobrą wolę, w atmosferze bezmiernej pychy magnackiej i magnackiego egoizmu, wyrastał na jednego z tych magnatów polskich, o których Staszic słusznie powie, że „z samych panów zguba Polski“, to znaczy z tych, którzy gotowi byli z samym djabłem wejść w konszachty,

byleby tylko wywyższyć swój dom i ród, z tych, w których piersi biły „złodziejskie serca“, jak je nazwał Skarga, z tych, którzy mówili sobie w duszy: „Co mnie po królestwie i rzeczypospolitej, kiedy się ja mam źle, a tego nie mam, czego pragnę?”

Otóż St. H. Lubomirski w młodości już zaprzedał duszę djabłu: brał przecie udział w rokoszu ojca, a później, kiedy udało mu się, już po śmierci ojca, znieść z niego infamję, a samemu osiągnąć najwyższą godność — marszałka wielkiego koronnego, stanął na czele spisku, mającego na celu nie mniej ani więcej, tylko detronizację Sobieskiego. Tak oto zbrodnia ojca pomściła się na duszy syna: stracił on kręgosłup moralny, a i umysłowy także. I to właśnie jest głównem źródłem, z którego płyną liczne sprzeczności w jego duszy i w jego pismach. Miał on dosyć zdrowego rozsądku, aby rozumieć, że zdrada, rokosz i spiski przeciwko własnemu królowi to zbrodnia. Sumienie mówiło mu to samo. Lecz ten głos zdrowego rozsądku i sumienia chciał Lubomirski zagłuszyć różnemi sofizmatami, chciał opędzić się przed tą oczywistą prawdą, że i ojciec zbrodniarz, i on sam zbrodniarz, — chciał, ale nie mógł; sprawił tylko tyle, że to ciągłe oszukiwanie samego siebie osłabiło w nim logikę umysłu i rodziło w duszy różne wątpliwości, nie tylko co do wartości życia i wolności woli, ale nawet, jak wieść niesie, co do nieśmiertelności duszy. Zwątpienie o wartości życia przemówiło w parafrazie wierszowanej Księgi salomonowej „Ekklesiastes“, w parafrazie, która wogóle jest zwierciadłem własnej rozdwojonej duszy Lubomirskiego, nie mniej wyraźnem i szczerem jak jego „Myśli o wieczności“ czyli „Decymka myśli świętych“. Widać jasno z tego utworu, że się dusza magnata broniła — przed własnem potępieniem, że ten sceptyk, nurzający się w kale rozpusty, a jednocześnie sypiący pieniędzmi na szkoły zakonne, fundujący kościoły i klasztory, głoszący w swych pismach zasadę, że niema nic wyższego nad cnotę i nawołujący ludzi do pokuty za grzechy, że ten dumny i pyszny magnat, który strzelał myślami tak wysoko, że zamarzył raz o koronie węgierskiej,—nieraz rzucał się na kolana, uderzał w pokorę i kajał się przed Bogiem, błagając o litość, a może i... o wiarę. Ale darmo! Pycha magnacka nie chciała opuścić serca a rozum znowu szukał sofizmatów, żeby się obronić przed świadomością haniebnych czynów. Tak rozdwojonej duszy nie miał przed Lubomirskim ani jeden pisarz polski, a rozdwoiło mu ją, raz jeszcze, nie co innego, tylko owa klątwa, że miał ojca zdrajcę i rokoszanina.

Otóż to rozdwojenie duszy musiało wycisnąć piętno na jego twórczości literackiej: oczywiście, nie na swawolnych komedjach pasterskich i czułych sielankach, które pisywał w młodości, ale na twórczości późniejszej, która spoważniała pod wpływem wypadków życiowych. Ojciec pobił wprawdzie wojska królewskie pod Mątwami, ale wkrótce potem ukorzył się przed królem w Łęgonicach, przypisując swój upadek „nieszczęśliwości losu”; w pół roku później umarł, rażony apopleksją. To wszystko dało synowi dużo do myślenia, i z tych to myśli wyrosło pisemko łacińskie p. t. „*Adverbiorum moralium, sive de virtute et fortuna libellus*“, czyli (w przekładzie polskim z roku 1714): „Adverbia moralne albo o cnocie i fortunie książeczka“. Zasilając się filozofją Seneki, a jednocześnie mając w świeżej pamięci zmienną dolę ojca, zastanawia się Lubomirski nad pytaniem, co uszczęśliwia człowieka: fortuna, czy cnota? Odpowiedź brzmi, że nie fortuna, ale jedynie cnota. Cnoty zaś są różne, ale wszystkie skupiają się w jednej głównej, mianowicie w kulturze duszy nieśmiertelnej; a ponieważ dusza jest cząstką bóstwa w człowieku, więc, kto pielęgnuje duszę, nie przywiązując wagi do bogactwa, do honorów i wogóle do niczego, co znikome, ten naśladuje Boga i zbliża się do Niego, nie mówiąc już o tem, że w tej pracy duchowej nad sobą znajdzie ukojenie we wszystkich nieszczęściach. Czy jednak ten ideał człowiek może osiągnąć? Na to niema bezpośredniej i stanowczej odpowiedzi w książeczce Lubomirskiego, ale nietrudno spostrzec, że autor o tem wątpi: z książeczki wieje pesymizm na myśl o niedoskonałości natury ludzkiej.

Nie dosyć na tem. Nie trudno spostrzec, że Lubomirski, przy całej swojej czci dla cnoty, szczerze boleje nad tem, że fortuna jest „nikczemna i niestateczna”, że „ledwo co się pokaże, w momencie znika i ustaje, ledwo co błyśnie, wnet o ziemię ciśnie, ledwo co wyniesie, wnet strąca“. Nie będzie chyba nieuzasadnionem przypuszczenie, że, gdyby fortuna nie strącała i nie ciskała o ziemię, toby Lubomirskiemu do głowy nie przyszło poczytywać cnotę za jedyne prawdziwe i trwałe szczęście.

Lecz niebawem fortuna zaczęła się mu uśmiechać. Polska miała zawsze, jak ma dotychczas, krótką pamięć: szybko zapomina nietylko o zasługach, ale i o zbrodniach, choćby nawet o rokoszach; więc zapomniała synowi rokoszanina zbrodni ojcowskich i jego własnych i nietylko obsypywała go zaszczytami (któremi on nibyto gardził), ale nadto ofiarowała mu wieś Ujazdów pod Warszawą. Tutaj zbudował sobie dumny magnat wspaniały pałac, w którym, podobnie, jak na zamku królewskim za panowania Sobieskiego, gromadził się sam kwiat inteligencji — z kraju i z zagranicy. Otóż poważne rozmowy gości, w których oczywiście i gospodarz brał wybitny udział, dały mu pochop do napisania najcelniejszego ze wszystkich swoich pism prozą: „Rozmowy Artaksesa i Ewandra, w których polityczne, moralne i naturalne uwagi zawarte, wedle podanych okazyj, tak jako mówione właśnie były, prawdziwie wyrażone są“ (1683). Dzieło to, w którem Lubomirski poszedł śladami „Dworzanina“ Górnickiego, jest w znacznej mierze kompilacją z pisarzów starożytnych i nowożytnych, jak to wykazał niedawno w osobnej rozprawie Władysław Szczygieł; ale to nie przeszkadza, że w chylącej się do upadku naszej literaturze jest ta kompilacja pozycją bardzo wybitną. A dla charakterystyki Lubomirskiego jest to dzieło wręcz nieocenione, przez usta bowiem zarówno Artaksesa, jak Ewandra, wypowiada on swoje własne poglądy na życie, chociaż najczęściej będące owocem nie własnej myśli, tylko rozleglej lektury. Artakses w milczeniu słucha Ewandra, Ewander — Artaksesa, nie wyrażając odmiennego zdania, tylko komplementując się wzajemnie i przytakując. Raz tylko jeden, w rozmowie dziesiątej (wszystkich rozmów jest trzynaście) Artakses nie zgadza się z Ewandrem: w poglądach na istotę duszy i jej stosunek do ciała; dają tedy „okazyją“ ojcu Elizeuszowi, kamedule na Bielanach, „aby się był obszerniej ozwał“. I oto zakonnik prawi długo i szeroko „o umyśle, to jest duchu albo duszy ludzkiej“, poczem, „pochwaliwszy Artakses i Ewander racyje i rozsądek Ojca Elizeusza i zostawszy niewymownie obaj ukon-

tentowani z wymowy jego", już nie dysputują o duszy, wsiadają do karety i wracają do Warszawy.

Otóż ta zgoda poglądów Artaksesa i Ewandra pochodzi właśnie stąd, że przez usta obydwóch autor wypowiada własne poglądy. Czemże się jednak tłumaczy, że w rozmowie dziesiątej, najciekawszej ze wszystkich, oddaje Lubomirski głos księdzu katolickiemu, pomimo że i tutaj wygłasza niewątpliwie swoje własne poglądy? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, przyjrzyjmy się treści tej rozmowy.

Spotykamy się w niej z dawnym poglądem Lubomirskiego, że dusza jest cząstką bóstwa, że więc człowiek, który troszczy się o „uprawę umysłu" (co łacinnicy nazywają *culturam animi*), zbliża się do Boga. Ale co skłania człowieka do tej „uprawy", której najpiękniejszym owocem jest cnota? „Trudno zaprawdę umysł i duszę swoję do cnoty i doskonałości gwałtem przywieść i nakłonić, chyba za osobliwą łaską bożą: są dusze i umysły, które do złego bardziej, niż do cnoty, skłonne naturą swoją i które żadną miarą do mądrości i doskonałości przywieść się nie dają; są zaś drugie, które jakoby do samej cnoty i mądrości, perfekcyi wszelakiej urodzone były", które „wnet bez wielkiej pracy i trudności stają się doskonałemi; i te są najszczęśliwsze dusze, które sympatyję i miłość jakąś osobliwą do cnoty mają i które bez prace i wielkiej uprawy owoc swój, to jest prawdziwą cnotę, wydają"... „Są umysły i duchy pospolite, co to, nic nad przyrodzoną drogę i potrzebę w cnotę nie wciągnąwszy, mało co nad zwierząt godności i szczęśliwości mają, jednem słowem, umysły podłe i liche"... „Co człowiek, to umysł; co umysł, to osobliwy występek albo osobliwa doskonałość"... Takie to już są wyroki samego Boga: „Ile gwiazd na niebie, tyle rozlicznych umysłów, tyle dusz... losem ręki i wyroku boskiego uciśnionych znajduje się na świecie"... „Dziwna, zaprawdę, nieskończonej ręki boskiej obfitość, że tak wiele umysłów, w przyrodzeniu ludzkiem zawartych, do chwały i nieśmiertelności, albo do potępienia przeznaczonych, stworzył"... „Najwyższy umysł, którym jest Bóg, wszystkie inne duchy albo umysły waży i taksuje...: niegodne w kącie i śmieciach, jako garki i skorupy liche i daremne zostawuje, godne na pomnożenie chwały, cnoty i doskonałości wybiera;... wspaniałe dla powagi i ozdoby cnoty przybiera;... sprawiedliwe na tronie i władzy dla zachowania narodów zasadza;... pyszne i wyniosłe na próbę doskonałości i pokory cudzej zachowuje"... Krótko mówiąc, w usta Elizeusza wkłada Lubomirski swoją własną wiarę w predestynację, wiarę, że jednych ludzi Pan Bóg z g ó r y przeznaczył do cnoty i mądrości na ziemi i, co zatem idzie, do zbawienia, a innych — do występku i głupoty i, co zatem idzie, do potępienia.

Źródła tych poglądów domyślić się nie trudno, tem łatwiej, że wymienił je pośrednio sam Lubomirski we wstępie do rozmowy dziesiątej: „Artakses przypomniał też zacnego jednego człowieka, świeżo zmarłego we Francji, to jest pana D'Andili, ojca pana z Pompony". Otóż ten zacny pan D'Andilli, to, oczywiście, Arnaud D'Andilli, ojciec Antoniego Arnaulda, to jest „Arnaulda Wielkiego", jansenisty i wroga jezuitów. Krótko mówiąc, źródłem poglądów Lubomirskiego na predestynację był jansenizm, którego doktryny poznał z osobistego zetknięcia się z jansenistami bądź we Francji, bądź na dworze Sobieskiego. Żeby zaś te doktryny w dziele swojem przemycić, żeby jego czytelnicy katoliccy łatwiej mogli je strawić, włożył je chytrze w usta księdza katolickiego, i to jeszcze zakonnika, chociaż wiedział przecież doskonale, że się ksiądz katolicki do nich przyznać nie może. To się nazywa — oszustwo!

Skądże się jednak w duszy Lubomirskiego znalazło miejsce na wiarę w predestynację? Przecież ta wiara pozostaje w jaskrawej sprzeczności nie tylko z bijącą z jego poezyj religijnych wiarą w opatrzność i sprawiedliwość bożą, ale i z poglądem, wygłoszonym w tejże dziesiątej rozmowie, że „umysł nasz jest taka rzecz przednia i doskonała, że c z e g o k o l w i e k d r o g ą, o d c n o t y s o b i e o p i s a n ą, p r a g n i e i ż ą d a, s t a ć m u s i ę w s z y s t k o i p o s ł u s z n e m b y ć m u s i". No, a jeśli kto nie dostał od Boga „przedniego i doskonałego" umysłu, to co? Oto w jakie sprzeczności uwikłał się Lubomirski! A tłumaczą się one czem? Tem, że wiara w predestynację była mu koniecznie p o t r z e b n a do usprawiedliwienia niegodziwości ojca-rokoszanina i swoich własnych, że gwałtem wmawiał w siebie: nie nasza to wina, żeśmy tacy, bo takimi nas, magnatów, Pan Bóg stworzył — dał nam umysły „wspaniałe", wobec nas szlachta to „śmiecie", „skorupy liche", słowem naród idjotów; wolno więc ją nam za nos wodzić i czynić wszystko, co do tego celu prowadzi, choćby nawet miało dojść do rokoszu, do spisku przeciwko prawowitej władzy, a nawet do ruiny Rzeczypospolitej!

Większą jeszcze sławę, niż „Rozmowy Artaksesa i Ewandra", przyniosło Lubomirskiemu jego pismo łacińskie „*De vanitate Consiliorum*", t. j. „O ułudzie rad"[1]). O niezmiernej poczytności tej książeczki świadczy to, że jeszcze za życia autora rozchwytano sześć, czy nawet siedem wydań, a i po jego śmierci przez czas długi czytywano ją bądź w oryginale łacińskim, bądź w przekładach polskich.

W całej literaturze staropolskiej niema nic, coby na dzisiejszego czytelnika sprawiało tak przygnębiające, tak straszne wrażenie, jak ta książka: na jej czele możnaby śmiało umieścić te słowa, które fantazja Dantego wypisała na bramie piekielnej: „Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją". Uosobiona Ułuda (*Vanitas*) rozmawia z uosobioną Prawdą (*Veritas*) o różnych sprawach politycznych, a więc o sejmach i sejmikach, o przymierzach i związkach, o skarbie i wojsku, o pokoju i wojnie i t. d.; autor nie mówi wprawdzie nic, że te wszystkie sprawy dotyczą Polski, ale nietrudno dostrzec, że wszędzie ma na myśli swój własny kraj. Każdą rozmowę zaczyna Ułuda, dzieląc się z Prawdą swemi „radami", to jest pomysłami, zmierzającemi do uzdrowienia kraju z różnych chorób i do zapewnienia mu potęgi politycznej; na to odpowiada Prawda, że się te pomysły na nic nie przydadzą, każdy z nich bowiem ma wprawdzie dobre strony, ale jeszcze więcej złych. Oto np. początek rozmowy trzynastej, „O sejmie walnym koronnym".

„U ł u d a. Jutro, za boską pomocą, zacznie się sejm.

P r a w d a. Jutro też zaraz masz myśleć, jako się ma skończyć. Dobrze zaczniesz, jeżeli go od końca zaczniesz. Żadna sprawa nie jest dobrze

[1]) Dzieło to znane jest pospolicie pod tytułem „O znikomości rad"; współcześnie tłumaczono je pod tytułem „Próżność i prawda rady" (wydanie toruńskie z r. 1705 przedrukował i zaopatrzył w doskonałą przedmowę Antoni Marylski. Warszawa 1916). Stanisław Dobrzycki („Historja literatury polskiej", tom I, str. 289) tłumaczy „*vanitas*" „ułuda" — jest to termin najodpowiedniejszy.

poczęta w samej rzeczy, która wprzód nie jest dokończona w myśli. Jutroć wprawdzie zacznie się, jeśli Bóg da, ale dobrze się nie skończy, jeśli ty nie dasz.

Ułuda. Posłowie ziemscy już się zeszli do Izby.

Prawda. Winszuję: będą niebiescy, jeżeli zgodni.

Ułuda. Wszyscy wprzód słuchali Mszy Wielkiej o Świętym Duchu.

Prawda. A przecie nie widzę, żeby co odebrali z darów Ducha Świętego, oprócz różności języków"...

I tak jest ciągle: ilekroć Ułuda wystąpi z jakimś pomysłem zaprowadzenia ładu w państwie, tylekroć Prawda wylewa na nią strumień zimnej wody. Wprawdzie to, co mówi Prawda, nieraz jest słuszne i mądre (np. zdanie, że „nigdy bardziej obawiać się nie mamy nieprzyjaciela, jako podczas pokoju"), ale główna jej rola polega na przeczeniu, a nadewszystko na wątpieniu, czy warto się trudzić myślą, a cóż dopiero czynem, nad „radami", mającemi na celu dobro państwa, skoro wszystkie są bezskuteczne. Pod jakim warunkiem rady mogą być skuteczne? Kto wie, może to wiedział pan marszałek koronny, bo chyba doskonale rozumiał, że *liberum veto* uniemożliwia ich skuteczność. Ale, jeżeli to wiedział, to zataił— i jakże inaczej? Przecie *liberum veto* dla niejednego magnata było drogocennym skarbem! Pogląd Lubomirskiego, że wszystkie rady są tylko ułudą, zburzył dopiero Konarski: sam już tytuł jego dzieła, „O skutecznym rad sposobie" jest niewątpliwie odpowiedzią na tytuł książki Lubomirskiego „*De vanitate consiliorum*". Ale dzieło Konarskiego ukaże się dopiero w lat kilkadziesiąt po śmierci „mądrego marszałka". A tymczasem niejeden szlachcic, przeczytawszy książkę Lubomirskiego, baraniał do reszty i mówił sobie: „Jeśli tak, jeśli wszystko na nic, to po djabła mamy sobie łamać głowę nad radami politycznemi? Czy nie lepiej jeść, pić i popuszczać pasa?".

Od początku do końca, jest ta książka jedną wielką sprzecznością, a przez wiejący z niej sceptycyzm beznadziejny była dla umysłów, serc i sumień polskich straszliwą trucizną, usypiała je i ubezwładniała.

Z żadnego innego dzieła „Salomona polskiego" nie okazuje się tak jasno, że stracił on kręgosłup umysłowy i moralny: umysłowy, bo zwątpił o zdrowym rozsądku i dobrej woli, a moralny, bo nie odczuwał już tej prawdy, że miłość ojczyzny jest tak wielką potęgą, iż zmusza rozum nie tylko do szukania, ale i do znalezienia skutecznych środków do ratowania ojczyzny choćby z samego dna piekła... I jak mógł tę prawdę odczuwać, kiedy kochał nie ojczyznę, tylko siebie, swoje ambicje, swoje fantazje i swój ród?

W najpiękniejszym ze wszystkich swoich utworów poetyckiech, w prześlicznej sielance biblijnej „Tobjasz wyzwolony", mówi Lubomirski (blisko o półtora wieku wyprzedzając Mickiewicza):

Gdy serce nie chce, rozum nie pomoże...
A gdy się w serce coś potężnie wpije,
Ni gwałt, ni rozum tego nie wybije.

Otóż to właśnie: miłość ojczyzny nie wpiła mu się potężnie w serce, i właśnie dlatego nie pomógł mu jego rozum. Wszystkie sprzeczności w jego pismach tłumaczą się tem, że już w młodości miał serce zatrute zbrodnią ojca; własna pycha i własne zbrodnie dolały trucizny do serca, a zatrute serce musiało zatruć rozum, bo przecie dusza jest jedna. W całej literaturze polskiej mało jest równie wymownych, jak pisma Lubomirskiego, dowodów, że, aby napisać coś naprawdę mądrego i pożytecznego, mało mieć talent i rozum — trzeba mieć jeszcze czyste serce i charakter.

IGNACY CHRZANOWSKI

HYMN DO GWIAZD

Onego czasu, kiedy Mistrz Przedwieczny
budował świat i w ustach Jego słowa
ważyły się, nim kształty oblekły cielesne,
o jednej nocy wicher niestateczny,
co koło Niego w wyżynach szybował,
porwał z tych świętych ust ogień natchnienia,
na olbrzymie go iskry porozmieniał
i zasiał niemi otchłanie bezkresne.
A Pan, ujrzawszy piękno ich postaci
i czar świetlanych z ciemnością zapasów,
lekkomyślnemu wichrowi przebaczył
i kazał im się palić po kres czasów.
O, iskry śpiącego błękitu!
Płomienista nocy świto!
Gromado wieczna, szatą strojna
złotolitą!
Pożarna cisza w głębiach piersi Boga
matką wam była i przeto jesteście
ogniem najczystszym i wielkiem milczeniem.
Rodzone wy w tajemnej męki geście,
przeto serdecznem być musicie drżeniem.
Powszędy wiedzie Jego źrenic droga,
więc nieskończone wasze widnokręgi,
o, nocne, promienne potęgi,
rozbłyszczone nieba oczy,
wici niebieskie, rozedrgane
skroś pomroczy!
Późną godziną, kiedy ziemi wrzawę
stróż-sen przywali krótkotrwałem wiekiem,
rzucacie, wisząc na niebie dalekiem,
całemu światu spojrzenia łaskawe,
w rzeki i morza i źródlane wody
kładziecie obraz swój, pełen łagody,
i w miłościwej ciszy uściśnienia
bierzecie bezmiar cały wszechstworzenia.
Zapomniał mistycznych urodzin
waszych — człek i w bielmie chodzi;
lecz instynkt ducha w mleczną drogę
go przywodzi.
Ku wam to żądze szczęścia lęk zagania
i wielkich ofiar bezimienne loty,
twórcze wam modlą się wieszczów tęsknoty
i wszystkie o nieśmiertelność wołania, —
myśl, ze swem do was lecąca powzięciem,
bezwiednie sławi odwieczne poczęcie.
. . . .
Lecz gdy dzień młody was zakryje sobą,
wraca zgiełk pieśnią hardą i gromadną,
od krzyku trzęsą się wiązania globu: —
komuż pamiętać o was wtedy snadno? —
We wrzasku, rumorze, stukocie
człek przy swoich dni robocie;
wzajemnie się zgłuszyć pragną
głosów krocie.
Kto świat okłamał, że z próżni hałasu
urasta żniwo idącego czasu?
Że duch inaczej tworzy od jabłoni,
w zamęcie, a nie w skupienia harmonji? —
I czyż być musi, by do końca losów
ziemia wierzyła w moc rodną chaosu? —
Gwiazdy! wy możne i wszystkowidzące
i ciche, jako On sam, cząstki Boga, —
zalejcie światłem rozgwary tętniące,
co na doczesnych królują rozłogach!
Przegwieźdźcie ludzkość, przetrawcie snu pora,
przesączcie nocą dusze swym migotem, —
niech się przepalą waszym prochem złotym
i ukochania cichości nabiorą!, —
by czynów bezgłośnych chórami
ziemia się wzwyżyła do was,
pokorna, lśniąca nad jutrami,
owocem płodna — córka Słowa.

STANISŁAW BĄKOWSKI

NA WIDOWNI

Okno wileńskie na Europę Wschodnią. — Część Polski odstępujemy dobrowolnie Wschodowi. — Musimy dać wolność naszym wschodnim współobywatelom. — Chirurgja sanacyjna czyli fabrykowanie narodów. — Swawolni niewolnicy. — Działalność polityczna i nauka. — P. Czerwiński dysponuje ziemiami polskiemi.

W TYCH dniach odbyło się w Wilnie uroczyste otwarcie Instytutu Badań naukowych Europy Wschodniej. Uroczystość miała charakter wysoce oficjalny, z bardzo niewielkim udziałem czynników społecznych, z których — jakoby — inicjatywy ta instytucja powstała. Nie było też słychać przedtem o naradzie i przygotowaniach: Instytut wynikł niespodzianie, jakby w sposób konspiracyjny. Podczas otwarcia dowiedzieliśmy się z mów ministra Czerwińskiego, wojewody Raczkiewicza, prez. miasta Folejewskiego pewnych szczegółów, dotyczących programu, ustroju i składu osobistego Instytutu. Prezesem jego, jak się pokazuje, jest b. prezes Akademji Umiejętności w Krakowie słynny lingwista, prof. Jan Rozwadowski, dyrektorem — poseł Jędrzejewicz. Zarząd Ins. stanowią pp. prof. Ehrenkreutz (przewodniczący) i członkowie: senator Abramowicz, oraz posłowie Jan Piłsudski, Okulicz i Jędrzejewicz. Członków Instytut może mieć tylko 50. Skład ich pewno jest podobny w barwie, jak zarząd.

O zadaniach mówił prezes Rozwadowski i przedtem komunikat, że przedmiotem badań naukowych Instytutu będą kraje, leżące między Bałtykiem a morzem Czarnem, z Polską sąsiadujące. W myśl statutu, jak objaśnił prof. Ehrenkreutz, Instytut będzie miał zadanie badać „pod względem historycznym, geograficznym, gospodarczym, kulturalnym, społecznym i politycznym stan ziem i formacyj państwowych, położonych między morzem Czarnem a Bałtyckiem oraz ludów tereny te zamieszkujących". Ale jednocześnie minister Czerwiński mówił o „naszych wschodnich współobywatelach", którymi Instytut również będzie się zajmował i to pod hasłem „Wolni z wolnymi, równi z równymi". Bo trzeba zważyć, że głównem też zadaniem Instytutu będzie prowadzenie szkoły wyższej, przeznaczonej specjalnie na dokształcanie (w kursie trzechletnim) urzędników administracyjnych, pracujących na kresach wschodnich. Celem tej uczelni — jak mówił minister Czerwiński — będzie „przygotowanie pracowników, którzyby wspomniane przezemnie naczelne hasło („Wolni z wolnymi, równi z równymi") umieli zespolić z najwyższem dobrem naszej Rzeczypospolitej". Są to cele — dodał p. minister — ważne, „pod względem państwowym doniosłe". Wojewoda Raczkiewicz dodał: „Tu właśnie (na kresach) uczeni polscy mogą najlepiej prowadzić badania nad zagadnieniami grup narodowościowych, zamieszkujących tę część Rzplitej oraz nad kulturalnym i gospodarczym rozwojem naszych bliższych i dalszych sąsiadów"...

„Dziennik Wileński" znalazł się w tem samem co i my w Warszawie położeniu; nie znając tajnych arkanów przedsięwzięcia, opatrzył sprawozdanie z uroczystości grubym znakiem zapytania. Wogóle myśli Instytutu naukowego, któryby badał Europę Wschodnią, można tylko przyklasnąć. Ale co znaczy włączanie do Europy Wschodniej naszego własnego kraju, który należy do Europy Zachodniej? Co znaczy wydzielanie jakieś na rachunek wschodu „grup narodowościowych" i do tego pod hasłem: „wolni z wolnymi, równi z równymi"? Pod hasłem powstańczem! Jeżeli nadto zwrócimy uwagę na dobór ludzi z pośród działaczy politycznych do zarządu instytucji naukowej, na atmosferę zresztą obchodu inauguracyjnego, na który się zwołali sami piłsudczycy, wyznający program federacyjny, będziemy wiedzieli prawdę: jest to posunięcie polityczne, partyjne pod pozorem nauki. Posunięcie partji federalistów, rozporządzającej obecnie środkami działania państwowego.

Społeczeństwo polskie, zaskakiwane faktami, powinno wreszcie zdobyć się na jednomyślne wobec „roboty sanacyjnej" stanowisko. Wiele się mówi o sanacji w znaczeniu raczej hygjeny. Ale to już nie hygjena, lecz poważne zabiegi w celach chirurgicznych. Powoływanie do życia separatywnego „naszych wschodnich współobywateli" hasłami powstańczemi, to już cięcia zadawane ciału państwowemu w widokach amputacji. Któż to pp. Czerwińskiemu, Raczkiewiczowi i towarzyszom dawał pełnomocnictwo na takie operacje?

Ile nam wiadomo, wytwarzanie nowych krajów kosztem ziem polskich leży w planach niemieckich, ale naród polski jest temu stanowczo przeciwny. Państwo polskie w dzisiejszych granicach jest własnością narodu polskiego i ani jeden cal kwadratowy tej ziemi wbrew jego woli nie zmieni swej państwowej przynależności. Dysponowanie tą własnością przewidziane jest konstytucją, a to prawo gwarantuje państwu zasada woli narodowej. Skądżeż to p. Czerwiński czerpie prawo szastania się hasłami? Zbyt spokojnie opinja polska i Sejm traktują przygotowania chirurgów do tej operacji. Niczem innem jak znieczulaniem organizmu jest cała polityka wewnętrzna „sanacji" w województwach wschodnich, a zwłaszcza szkolna. Śmiało rzec można, że cała radosna twórczość od maja 1926 r. ma tło „wschodnie". Wschodni ludzie obmyślili sobie przemysł wytwarzania nowych jednostek politycznych kosztem państwa polskiego. Ale i tu pomysł nie jest oryginalny: *Made in Germany*.

Gdyby ten pomysł żywiony był w dobrych dla Polski zamiarach, nie byłby tajony i wykonywany podstępnie. Zaczęłoby się od dokładnego porozumienia z ludźmi, za politykę polską odpowiedzialnymi moralnie. Istnieje myśl polska i wola polska. Wbrew Polsce, świadomej swych działań, nie da się nic dokonać. Tylko ludzie, pozbawieni możności myślenia na sposób zachodni, mogą sobie ułatwiać ruchy przez wmawianie, że wszyscy poza nimi są warjatami lub idjotami, że Polska jest narodem idjotów. To jakoby ma usprawiedliwiać autokratyzm tych jednostek i konspiracyjność działania. Zbyt długo już trwała mistyfikacja, a ci przedewszystkiem, którzy — być może — w dobrej wierze ją ułatwiali dotąd, policzyć się powinni ze swoim patrjotyzmem i poniechać igraszek.

Policzyć się powinni i z logiką swoją. Bo skoro do całej akcji dorobili „naukowe" rusztowanie, że naród jest wyrazem bez treści, a życie dziejowe zaczyna się od państwa, skoro nacjonalizm uważają za anarchję, a poczucie państwowe za jedyne źródło twórczości, to czemu robią wszystko odwrotnie: 1) tyle energji wkładają w wytwarzanie nacjonalizmu białoruskiego i ukraińskiego, aby założyć podwaliny pod budowę nowych narodów, których jeszcze niema i 2) za nic sobie nie mają świętości „państwa", za którego całość i po-

myślność w dodatku biorą odpowiedzialność, opartą na przysiędze, nie tylko na teorji.

Dzieła, dokonywane z nadużyciem mandatu, logiki, moralności osobistej i prawa nie mogą być trwałe i nie mogą przynieść nikomu pożytku.

Prof. Jan Rozwadowski w pięknym wykładzie inauguracyjnym wypowiedział ubocznie aforyzm następujący:

„Powiedział ktoś, że stając na ziemi angielskiej ma się odrazu wrażenie życia społecznego i państwowego, które można krótko określić jako: wolność i karność. Wschód zawsze robi wrażenie karności i niewoli. Ideałem jest z pewnością tamto pierwsze. Ale jest jeszcze trzecia kombinacja: swawola i niewola. Obawiam się, że większość Słowian, a i my także, przedstawia jeszcze raczej ten trzeci obraz, a trzeba całą siłą dążyć do pierwszego".

Prelegent nie dodał, że ludzie tego wschodniego pokroju, swawolni niewolnicy, nie są tymi, którychby Polska, jako kraj zachodni, chciała używać do przezwyciężania Wschodu. Bo oni raczej pragnęliby uczynić z Polski kraj wschodni, w każdym razie ograniczyć jej wpływy cywilizacyjne. Jedyny to zresztą punkt w wykładzie uczonego, dotykający obecnej rzeczywistości, naogół trudno o większy kontrast, jak stanowisko prof. Rozwadowskiego i polityków, zakładających Instytut, pomimo że ci uciekli się pod skrzydła nauki.

Chłodne, rzec można, elektryczne światło historjozoficzne prof. Rozwadowskiego oświetla *sub specie aeternitatis* odwieczne dzieje przenikania się wzajemnego Zachodu i Wschodu od kilku tysięcy lat. Dwie te cywilizacje przenikają się nawzajem, a wędrówki wpływów i ludów są jak fale morskie. Ze stanowiska naukowego, cokolwiek miałoby się zdarzyć za naszych czasów jako zalew Europy przez Wschód, będzie jednem więcej zdarzeniem, które w rezultacie coś dobrego przyniesie tej czy innej stronie, co historja umiejętnie zanotuje.

A jednak akcja wileńska zanim się stanie czemś dla nauki, jest narazie faktem praktycznym. Pada od niej światło na najbliższą przyszłość, która idzie, nie zaś na fakty, które minęły i które nauka oświetla z tyłu — beznamiętnie, raczej pod kątem estetycznym. Grecja i Persja pięknie i z pożytkiem dla cywilizacji falowały na siebie, ale dla współczesnych to były dramaty i wielkie zagadnienia czynu. Nie prawa naukowe drogę torowały, lecz wysiłki masowe i Aleksandrów Macedońskich. To, co nas czeka, jest w ręku Boga, ale my dzisiaj pytamy, co jest naszym obowiązkiem czynić. Minister Czerwiński, odgrywający rolę patrona nauki i prof. Rozwadowski, w dobrej wierze stający na apel, to dwa różne nastawienia psychiczne wobec zagadnienia Zachodu i Wschodu. Uwaga społeczeństwa zwrócona być musi na stronę polityczną akcji naszych Aleksandrów Macedońskich.

Panowie tacy, jak Czerwiński, Józewski, Poniatowski, Szelągowski na Wołyniu tępią cywilizację zachodnią polską tak, jak się to działo za czasów rosyjskich z tą różnicą, że robią to na rzecz przyszłej cywilizacji ruskiej. Tam dzieci urzędników Polaków uczą się czytać w szkole polskiej na elementarzu ruskim cyrylicą i nie umieją czytać po polsku (ob. „Myśl Narodowa" Nr. 8). Wśród ludności polskiej panuje z tego powodu wzburzenie, i rzecz dziwna, że parlament toleruje ten stan rzeczy. Naród nie na to odzyskiwał niepodległość, aby w państwie gospodarował ktoś dwuznaczny, wbrew woli narodu i z jego krzywdą.

ZYGMUNT WASILEWSKI
(DIGAMMA)

ZE ŚWIATA

ORGANIZACJA POMOCY NAUKOWEJ W JAPONJI

WYCHODZĄCY w Paryżu organ Instytutu Współpracy Umysłowej, *„La Coopération Intellectuelle"*, nie jest miesięcznikiem zbytnio zachęcającym do lektury. W ostatnim jednakowoż numerze z dnia 15 stycznia znajdujemy tam niezwykle ciekawe uwagi, dotyczące japońskiego stowarzyszenia *Kei-Mci*, założonego w r. 1916 celem niesienia pomocy uczonym i ich badaniom naukowym. Kapitał zakładowy w postaci miljona jenów (trzech i pół miljonów złotych) został wpłacony przez prywatnego ofiarodawcę p. Tetsuma Akabosh, który wypełniał tylko ostatnią wolę ojca swego, Yanosuke Akabosh. W porozumieniu z władzami rządowemi kooptowano do zarządu co znakomitsze nazwiska współczesnej Japonji umysłowej i bezwłocznie przystąpiono do działalności, która w przeciągu ostatniego dziesięciolecia zaznaczyła się bardzo poważnie w udzielaniu wydatnej pomocy badaniom naukowym, w finansowaniu misyj naukowych, w popieraniu prac odkrywczych.

Cele są tu tak dobrze przyrodnicze, jak i humanistyczne. Badania botaniczne, zoologiczne, fizyczne, chemiczne jak też i medyczne zostały tu uwzględnione obficie. Co jednak zwraca szczególnie uwagę, to pieczołowite obchodzenia się z japońską humanistyką, które przybiera rozmiary wręcz rewelacyjne.

I tak dowiadujemy się, że udzielono zasiłku w kwocie 6,476 jenów dla wydania słownika hiszpańsko-japońskiego sporządzonego przez hispanologa japońskiego p. Kanazawa'e. Przekład wyrazów hiszpańskich na japoński sporządzono tu w czcionkach łacińskich, ideograficznych i w alfabecie „kana", co umożliwia czytanie tego słownika także i osobom umiejącym po japońsku, ale nie znającym chińskiego alfabetu. Jest to pierwszy słownik tego rodzaju. Został on błyskawicznie wykupiony w pierwszem wydaniu przez Japończyków, zamieszkujących Amerykę Południową.

Osobna subwencja 7000 jenów pozwoliła na wydanie słownika chińsko-japońskiego głównie w zakresie wyrażeń technicznych i naukowych. Słowa te, aczkolwiek po japońsku, pisane alfabetem chińskim, różnią się jednak znacznie od brzmień chińskich.

Prace słownikarskie wykazują jeszcze subwencję 6000 jenów dla Dr. Johna Batchelor'a, który przygotował całkowicie przerobione wydanie swego słownika języka *„Ainou"*. Okazuje się tu, że i niejapońscy badacze w pewnych wypadkach mogą tu dostawać zasiłki. Byłby je mógł wydobyć dla swych badań nad Ainosami i Bronisław Piłsudski, tak tragicznie i przedwcześnie zmarły.

Znakomity filolog japoński p. Tl. Oya, dzięki sugwencji 12,200 jenów, rozłożonych na odcinki trzyletnie, zdołał ukończyć monumentalne 9-tomowe dzieło, poświęcone historji alfabetów japońskich „kana" pod względem fonetycznym i graficznym.

Z kolei prace literackie.

Profesor N. Sasaki otrzymuje sumę 42,000 jenów, rozłożonych na lat trzy, dla wydania tekstu krytycznego starej antologji *„Man-Yô-Shû"*.

P. Tamai pracuje nad wydaniem krytycznem *„Sarashina Nikki“*, pamiętnika szlachcianki japońskiej, pani Tachibana'y, opisującej zdarzenia zaszłe między latami 1021—1058. (Cyfry te proszę przeczytać dwa razy, bo nie przywykliśmy w Europie do pamiętników niewieścich z tej epoki).

Profesor Uniwersytetu Tokijskiego, p. Shionoya dostaje subwencje na pracę, poświęconą dramatowi chińskiemu z epoki Mongołów. Profesor D. Tokiwa, dzięki subwencji 8.000 jenów, pracuje nad historją buddyzmu w Japonji i jego związkami z konfucjanizmem i Taoizmem.

P. Yabuki za specjalną subwencją trzech i pół tysiąca jenów, studjuje w *British Museum* starodawne chińskie rękopisy i druki.

Historyk sztuki, prof. Sei-ichi Taki otrzymuje pokaźną sumę 10,000 jenów dla sporządzenia kopij starożytnych zabytków malarstwa chińskiego w Azji Centralnej.

Wreszcie i o muzyce nie zapomniano. P. Kanetsune dostaje 5,200 jenów dla sporządzenia zbioru melodyj ludowych japońskich, zaś profesor Tanabé 6,000 jenów dla podjęcia studjów historyczno-muzykologicznych.

Zaiste wieje z tego suchego opisu atmosfera wielkiej i głębokiej kultury narodowej na tym dalekim wschodzie. Bo nie wynaleziono dotąd lepszego przejawienia się tej kultury, jak pieczołowitość nad poznaniem przeszłości narodowej i troskę o to, by się nić swoja nie rwała.

WŁADYSŁAW FOLKIERSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

PROPAGANDA PACYFIZMU W WYCHOWANIU

1. Na terenie międzynarodowym

ŻYJEMY w okresie „likwidacji” wojny, likwidacji, polegającej jak wiadomo na znoszeniu tych gwarancyj, które jeszcze przed kilku laty uważaliśmy za najlepsze zabezpieczenie pokoju. Żyjemy w okresie potępienia wszelkiej wojny; są nawet tacy, którzy zapominają, że dzięki wielkiej wojnie odzyskaliśmy własne państwo. Żyjemy w okresie haseł braterstwa, miłości, które rozbrzmiewają na wszystkich międzynarodowych zjazdach; nawet wtedy, kiedy ktoś mówi o konieczności zajęcia cudzej ziemi, wystarczy, gdy doda „drogą pokojową”, by wszyscy z całą powagą słuchali, a nawet podziwiali „pacyfizm“ mówiącego. Żyjemy wreszcie w okresie, kiedy konferencję, na które uczestnicy radzą nad tem, ile jeszcze, kiedy i jakiego rodzaju jednostek bojowych ma każdy z nich wybudować, nazywa się konferencją „rozbrojeniową”.

Wogóle żyjemy pod gwiazdą ogólnoludzkiej miłości, pacyfizmu, rozbrojenia. A ponieważ to rozbrojenie duchowe i fizyczne mimo wielkich wysiłków natrafia na pewne trudności u tych, którzy nie tak dawno jeszcze w obronie najświętszych ideałów i najżywotniejszych interesów narodowych czy nawet ogólnoludzkich krew przelewali, przeto te czynniki, którym zależy na tem, by jaknajprędzej w myśl tych pokojowych ideałów regulować życie bieżące, a może inne osiągnąć cele, zwróciły wcześnie uwagę na młode pokolenie, ażeby je wychować na prawdziwych „obywateli ludzkości“.

Sprawa ta była już niejednokrotnie poruszana na łamach „Myśli Narodowej“, ponieważ jednak ma ona pierwszorzędne dla nas znaczenie, pragnę dorzucić garść nowych faktów, by zwrócić na nią uwagę ogółu społeczeństwa, a szczególnie obozu narodowego.

Istnieje już dzisiaj cały szereg stałych, międzynarodowych organizacyj, o różnym charakterze: naukowych, wychowawczych i zawodowych, których jeżeli nie jedynym, to przynajmniej jednym z głównych celów jest szerzenie idej pacyfistycznych wśród nauczycieli, a za ich pośrednictwem oddziaływanie na młodzież. Należy tu wymienić takie jak: Wszechświatowa Federacja Stowarzyszeń Pedagogicznych, Liga Nowego Wychowania, Międzynarodowa Federacja Nauczycieli szkół powszechnych i szereg innych. Ideowe stanowisko np. pierwszej z nich sformułowane jest między innemi w następujący sposób: „Stworzyć związki przyjaźni, dobrej woli między narodami... rozwinąć w sercach młodzieży świadomość etyki międzynarodowej... podkreślić w całym świecie i we wszystkich szkołach jedność rodzaju ludzkiego i obnażyć niedorzeczność wojny“.

Te organizacje odbywają stałe kongresy, a prócz nich Liga Narodów, czy zależne od niej instytuty urządzają różne międzynarodowe zjazdy, o różnych nazwach jak np. „wychowania moralnego“ i t. p., o pozornie różnych celach, na których jednak zawsze, między innemi przedmiotami obrad, znajdują się takie zagadnienia, jak „Duch międzynarodowy w szkołach”, „Przygotowanie nauczycieli do współpracy międzynarodowej” i t. p. Nie mówię tutaj o organizacjach, mających jawną firmę masońską, zajmujących się np. międzynarodową wymianą młodzieży i t. p.

Rok 1929 obfitował w różne kongresy. W kwietniu odbył się kongres Międzynarodowej Federacji Nauczycieli szkół powszechnych w Bellinzonie, z końcem lipca i z początkiem sierpnia Trzeci Międzynarodowy Kongres Wszechświatowej Federacji Stowarzyszeń Pedagogicznych w Genewie, w sierpniu Piąty Kongres Międzynarodowej Ligi Nowego Wychowania w Helsingör. I jest rzeczą charakterystyczną, że na nich wszystkich były specjalne sekcje, na Kongresie Federacji Stowarzyszeń Pedagogicznych aż trzy, poświęcone sprawie „zbliżenia pomiędzy narodami za pośrednictwem wychowania“. A jaki duch międzynarodowy na nich panował, najlepiej świadczy o tem fakt, że na Kongresie Ligi Nowego Wychowania dopiero Japończyk zwracał uwagę Europejczykom na konieczność budzenia uczuć patrjotycznych.

Ponieważ wśród przedmiotów nauczania specjalnie ważną rolę w szerzeniu haseł pacyfistycznych może odegrać nauka historji, przeto bardzo wcześnie zwrócono na nią szczególną uwagę. Zwłaszcza ona ma zająć się wychowaniem międzynarodowego obywatela. Przeprowadzenie tego zadania przyświeca jako cel specjalnym organizacjom, jak założona w 1921 r. w Paryżu „Dotacja Carnegi'ego dla pokoju międzynarodowego“. Podobną myślą owiany jest Instytut J. J. Rouseau w Genewie i t. p. Odbywają się stale kongresy, poświęcone specjalnie lub między innemi sprawami tym zagadnieniom, np. w 1925 r. Konferencja Powszechnego Związku Chrześcijańskiego w Stokholmie, w 1926 r. Posiedzenie Komisji Edukacyjnej w Bernie. Te sprawy są w tym samym roku 1926 przedmiotem obrad międzynarodowego Zjazdu

nauczycieli szkół średnich w Genewie, w r. 1928 Międzynarodowej Konferencji historyków w Oslo i td.

Pozornie te organizacje i kongresy nie mają ze sobą nic wspólnego, tylko w dziwny sposób przez nie wszystkie przewija się jedna wspólna nić: propaganda pacyfizmu. Te nieustanne zabiegi, występują pod różną formą i pod różnemi nazwami, a jednak kierowane są jedną myślą przewodnią i — nie ulega chyba wątpliwości — potężną wolą jednej międzynarodowej organizacji.

J. HAJEWICZ

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Przyjemnie się czyta dwie broszurki młodego badacza filologji i kultury klasycznej, docenta Stanisława Seligi, poświęcone dwum poetom rzymskim: Katullowi i Petronjuszowi („Pieśni miłosne Katulla", „Petronjusz poeta-sceptyk", 1929, skład gł. Dom Książki Polskiej). Autor wychowany na dobrych wzorach francuskich, umie pisać lekko i zajmująco i aktualizować, przybliżać mam starożytność klasyczną. Zresztą przybliżać ją było nietrudno, gdyż w dziełach obu pisarzy, o których mowa, tętni mocno i życie odległego wieku i — co najważnieisze — namiętne serce ludzkie. Katullus, gdy zwierza się z przeżyć nieodwzajemnionej miłości, ileż ma wspólnego z mickiewiczowskim Gustawem, a ileż prawdziwszy od goethowskiego Wertera! Ten „wychowanek pięknej Werony", która w tyle wieków później miała zasłynąć dzięki Szekspirowi najpiękniejszą w świecie tragedją miłosną, był na całe stulecia największym piewcą miłości, a i po dziś dzień mało kto go prześcignął; Seliga słusznie porównywa go z Mussetem i Heinem. — Petronjusz jest Polakom znany z nieśmiertelnego dzieła Sienkiewicza, a piękne przekłady z jego *„Satyriconu"* oraz wierszy dali nam Staff i Ejsmond, jednakże znajomość tej starożytnej powieści obyczajowej (choć niebardzo obyczajnej) stosunkowo jeszcze u nas jest mała. Dziś, gdy Trymalchjonów w Polsce się namnożyło, może niejeden zobaczyłby się w tej powieści jak w zwierciadle. Dobrze robi Seliga, że przeciwstawia się sądom tych, którzy zarzucali Sienkiewiczowi niezgodność z historją przez zidentyfikowanie Petronjusza Arbitra, autora *„Satyriconu"* z tacytowskim Petronjuszem *„arbiter elegantiae"*. Sienkiewicz bowiem poszedł za zdaniem najlepszych znawców tej kwestji (m. in. prof. Morawskiego), a na historji starożytnej znał się stokroć lepiej, niż jego krytycy, Lam i Matuszewski.

*

Zasłużony propagator i badacz kultury polskiej we Włoszech, dr. Maciej Loret, ogłosił niedawno zwięzłą rozprawę o życiu i twórczości Tedeusza Kuntzego, wybitnego malarza polskiego, żyjącego w w. XVIII w Rzymie. Po artyście tym zostało wiele dzieł, z których najsłynniejsze są freski, zdobiące bibljotekę i kaplicę seminaryjną we Frascati, pałac biskupi tamże oraz salę Casino Stazi-Martorelli w Ariccia. W rozprawie swej Loret zajmuje się jednak głównie obrazami rodzajowemi tego malarza, znajdującemi się w Polsce w posiadaniu rodziny Szeptyckich. Tło na nich wszędzie włoskie — ściślej mówiąc mówiąc, rzymskie, — jednakże widać, że artysta ma własną fizjognomję i swoisty temperament, różniący go od ówczesnej szkoły włoskiej. Widać to na autopotrecie (w stroju polskim) oraz w scenach żywo zaobserwowanych i podchwyconych z życia ludzi. Słusznie więc w tytule rozprawki (wydanej w Rzymie, Fratelli Palombi) nazwany został Kuntze *„Un predecessore polacco di Bartolomeo Pinelli"*...

*

Możność zapoznania się ze źródłami historycznemi w ziemi wileńskiej, uposaża naukę polską w coraz gruntowniejsze studja i interesujące odkrycia. Szkic historyczny Walerjana Charkiewicza „Ostatnie lata alumnatu papieskiego w Wilnie", odbitka z „Ateneum Wileńskiego". Zeszyt 16, 1929, ukazuje powody założenia tego papieskiego seminarjum duchownego dla przyszłych misjonarzów Unji i szerokie tło polityczne tej instytucji. Zamierzenia Rzymu połączenia dwóch kościołów zachodniego i wschodniego pozostały nierealne, mimo ofiary, jaką poniósł król Stefan Batory zaniechaniem wojennej wyprawy przeciwko Moskwie i mimo starań Stolicy Apostolskiej w ciągu następnych stuleci. Jednym z powodów niepowodzenia rozpoczętej akcji było i to, że seminarjum wileńskie kształciło przeważnie „łacinników", a do walki ze schizmą i misyjnej pracy wśród ludu stale brakowało kandydatów. Aby zaradzić takiemu stanowi rzeczy, Stolica Apostolska powierzyła prowadzenie seminarjum bazyljanom, a bardziej sute uposażenie finansowe przez pewien, niedługi zresztą czas, przyczyniło się do wzmocnienia działalności tej uczelni. Aż wreszcie klęska rozbiorów Polski, z równoczesnem zaprzepaszczeniem funduszów alumnatu, przerwały jego zamierzenia religijne.

Do powyższego szkicu historycznego dołącza p. Charkiewicz, którego źródłowe prace były już w „Myśli Narodowej" omawiane, odpis aktu likwidacyjnego „do rządu imperatorskiego uniwersytetu wileńskiego. Raport". A szkic ten, jak i pokrewne mu studja z dziejów Unji, wskazuje nauce polskiej nowy kierunek badań w dziedzinie historji i martyrologji ziem rosyjskiego zaboru.

*

W „Bibljotece Pisarzy Polskich" (Wydawnictwo Polskie, Poznań) pojawiła się nowa powieść Jerzego Kossowskiego, zatytułowana „Cyrk". Jest pogłoska, że w poszukiwaniu tematu autor zaciągnął się na czas pewien do wędrownej trupy cyrkowej i że istotnie wiele swych przeżyć w książce swej zamieścił. Jak było, tak było w każdym razie życie cyrkowe które nam Kossowski w powieści swej odmalował, jest przedstawione żywo, barwnie a nie banalnie, pomimo że autor ustrzegł się (tak częstego zwłaszcza w kinowych filmach na tematy cyrkowe) pierwiastka perwersyjno-erotycznego. Miłość cyrkówki do panicza (i nawzajem) to już, prawdę mówiąc, rzecz nawet w operach oklepana, jednakże w ujęciu Kosowskiego ma ona dużo naiwnej świeżości. Postacie cyrkowców nie wszystkie są dość wyraziste, zato — kapitalna (i najlepsza w całej powieści) jest, pomimo pewnego przeszarżowania, postać wszędobylskiego żyda — Ajzyka. Tłem akcji uczynił Kossowski swoje strony rodzinne, Sądeczczyznę i Krośniewskie, gdzie już niegdyś Sewer umiejscowił swoją piękną powieść „U progu sztuki". Z tą powieścią Sewera—opowiadającą o doli i niedoli wędrownych aktorów — ma „Cyrk" Kossowskiego wiele cech wspólnych. Od „Zielonej kadry" powieść to słabsza i mniej oryginalna, jednakże warta czytania, gdyż akcję ma wartką, język czysty i barwny, a z moralnością się nie kłóci.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Dla poznania współczesnej polityki międzynarodowej, a zwłaszcza polityki Stanów Zjednoczonych jest doskonałym podręcznikiem książka znanego dziennikarza amerykańskiego Franka H. Simonds'a, która ukazała się w tłumaczeniu francuskiem p. t. *„Histore de l'Europe d'après guerre"*. (Payot. Paris). Autor jest wprawdzie liberałem, który sądzi, że pakty lokarneńskie były koniecznością i że otwierają nowy okres w pacyfikacji świata. Lecz zna on i rozumnie tak dobrze czynniki naczelne w polityce europejskiej oraz ludzi, odgrywających w niej rolę, że książka jego przynosi nietylko szeregi faktów, lecz i przyczynowe ich rozwiązanie. Dla czytelnika europejskiego zaś prawdziwą rewelacją jest to, co autor mówi o nastroju opinji i polityce Stanów Zjednoczonych. Wypada też podnieść nietylko życzliwy stosunek pana Simonds'a do Polski, lecz także głębokie zrozumienie położenia międzynarodowego naszego kraju, jego aspiracyj i polityki. Polakom przydałoby się bliższe zapoznanie się za pośrednictwem p. Simonds'a z tem, co o naszem położeniu politycznem myślą w innych krajach i jak się na nie zapatruje wybitny znawca polityki międzynarodowej. Nikt z ludzi, zajmujących się w Polsce polityką światową, nie powinien pominąć jego dzieła.

*

Gorąco polecamy czytelnikowi polskiemu książnę hr. de Saint-Aulaire'a p. t. *„La Mythologie de la Paix"*. Jest ona zbiorem artykułów drukowanych przed kilkoma laty w paryskiem *„Figaro"*, a wymierzonych w pacyfistyczną politykę p. Brianda. Autor był ambasadorem francuskim, zna znakomicie stosunki międzynarodowe i posiada wysoką kulturę umysłową. Rozprawia się tu z duchami genewskiemi i lokarneńskiemi w sposób dotkliwy a rycerski. Dowcip i prawdziwy *„esprit"* francuski sprawiają, że książkę czyta się z prawdziwą przyjemnością.

*

W ostatnim zbiorze G. K. Chestertona, noszącym tytuł *„Generally Speaking"* znajdujemy dwie rozprawy, dotyczące Polski: „O Polsce" i „O nowych stolicach". Znakomity pisarz angielski jest przyjacielem naszego kraju z bardzo głęboko sięgających w duszę jego powodów. Jakich, to widać z następującego zdania wyjętego ze szkicu o Polsce: „Gdy Polacy pobili bolszewików na polu bitwy... to było to zwycięstwo starej tradycji rycerskiej nad tem wszystkiem, co jest nowoczesne, utylitarne i mechaniczne w metodach, a ma-

terjalistyczne w filozofji". Czy jest wobec tego rzeczą dziwną, że Chesterton podziwiał bardziej Kraków, niż Warszawę?

*

Kto się interesuje tem, co sie dzieje w Rosji, powinien przeczatać książkę Arthura Feilera — „*Das Experiment des Bolschewismus*", znajdzie w niej dużo faktów i dociekania nad istotą ustroju, polityki i gospodarki sowieckiej. Autor wyraża szereg wątpliwości co do tego, czy system komunistyczny się ostoi w Rosji; będąc wszakże sam liberałem, żyjącym ideologją wielkiej Rewolucji francuskiej, nie posiada w umyśle swoim mocnej podstawy do wyraźnego przeciwstawienia się ideologji bolszewickiej, która przecież obejmuje całokształt życia ludzkiego, a nietylko zagadnienia gospodarcze. Stąd wynika, że trzeba książkę czytać z uwagą i wyostrzonym zmysłem krytycznym. Kto tego nie będzie przestrzegał, łatwo uznać może książkę Feilera za rzecz przychylną dla bolszewizmu.

*

Biografje sławnych ludzi znajdują wciąż zastępy wiernych czytelników. Współczesne bowiem generacje, unoszone zawrotnym rytmem życia, nie mają czasu studjować po bibljotekach. Jakkolwiek zapatrzone są przedewszystkiem w przyszłość, to jednakowoż łakną—w dostępny oczywiście sposób — zapoznać się z przeszłością. To zaś zaciekawienie historyczne zaczyna się rozciągać na coraz bardziej odległe epoki. P. Auguste Bailly nie zawahał się też odtworzyć życie Nerona w „*L'Agonie d'un Monde*" (Fayard édit.). Względem tego Cezara, znanego naogół z okrucieństw i rozpusty, autor chce pozostać bezstronnym. Podkreśla on przedewszystkiem fakt, że Neron, mając zaledwie lat 17 stanął na czele Cesarstwa i że był zrazu władcą dbałym przedewszystkiem o dobro państwa, a nawet doskonałym admistratorem. Dopiero potem, upojony potęgą swej władzy, otoczony intrygantami, rzuca się z prawdziwą frenezją w wir zabaw i rozpusty, jaka go miała doprowadzić do szaleństwa. To zaczyna się objawiać po zamordowaniu Agrypiny. Tragiczne te chwile, p. Bailly opisuje w sposób niezmiernie przejmujący, jak również i wogóle tę krwawą kartę historji rzymskiej, prowadzącej do agonji wielkiego cesarstwa. Czy Neron był jedynie złowrogim tyranem? — Zdaniem autora, nie. Należy bowiem w sądzeniu ówczesnej epoki brać pod uwagę jej charakter i obyczaje, a właściwie nieobyczaje, tę nieokiełznaną potrzebę zabaw i okrucieństw, potrzebę „*panem et circenses*"! Pozatem autor biograf zaznacza także jeden ciekawy fakt: przywiązanie np. Acté do Nerona, zarówno jak i kilka innych osób z jego otoczenia, a mianowicie Sporus'a. Czyż człowiek-monstrum mógłby wzbudzić podobne uczucie w sercu chociażby owej Acté, kobiety, pomimo wszystko, pełnej słodyczy, a nawet wstydliwości, zalety tak rzadkiej w owych czasach? P. Bailly, odtwarzając — a bardzo mało romansując życiorys Nerona — napisał książkę niezmiernie ciekawą, ujętę w formę żywą, którą się czyta z zainteresowaniem równem powieści, a z większym napewno pożytkiem.

*

W związku z zagadnieniami politycznemi w Hiszpanji w czasach ostatnich ukazały się następujące książki: „*Les valores historicos en la dictatura espanola*" napisana przez Josè Pemartin, „*Psicologia del dictador*" napisana przez Emilio R. Tarduchi i „*El pensamiento de Primo de Rivera*", zawierająca zdania, artykuły i przemówienia dyktatora w ciągu kilkuletniej jego władzy. Książki te stanowią ciekawe dokumenty historyczne Hiszpanji naszych czasów.

TEATR

B. SHAW: „ZWIĄZEK NIEDOBRANY"

Teatr Polski lubi Bernarda Shaw'a. Dwa lata temu wystawił jego „Człowieka i nadczłowieka", obecnie komedję „Związek niedobrany" (mezaljans). Ekscentryczny ten pisarz wyrobił sobie przekonanie o wartości burżuazyjnej rodziny angielskiej bardzo niekorzystne. Reklamy jej nie robi. Może trochę przesadza, bo ma humor i nie lubi być tragiczny w obserwacji, jak np. nasza Zapolska; raczej bliższy jest naszemu Perzyńskiemu. A humor angielski ma swoje prawa, dla nas śmieszne. Oglądając angielskie pisma humorystyczne śmiejemy się nie z „kawałów", lecz z tego, że one anglików bawią. Bawią się jak dzieci. Shaw ma coś z karykaturzysty tych czasopism lub z klowna. Darmobyś szukał, gdzie jest w nim miejsce, w którym człowiek szydzący się martwi. Polak się martwi, gdy wyśmiewa. Shaw powiada w tej sztuce Anglikom: doprowadziliście cywilizację anglikańską do schyłku. Z was już nic być nie może. Chyba przyjdzie jaki barbarzyńca np. Polak i swem zdrowiem fizycznem was zarazi, nauczywszy z powrotem żyć porządnie fizycznie i duchowo. Wprowadza tedy na scenę akrobatkę. Linę Szczepanowską, jako miarę rzeczy, jak one odbiegły od prawdy.

Polak nie wie, czy mu to schlebia, czy Shaw i z niego nie drwi. I udaje, że się śmieje, jak aktor polski dławi się (jako tłumaczony niby Anglik) wymawianiem nazwiska Szczepanowskiej. Teatr postępowy chciałby z tego coś zrobić bo to besztanie burżuazji, ale prawdę mówiąc, polskie sztuki są w tym nawet zakresie lepsze. Niktby nie darował polskiemu autorowi takiego gadulstwa i wogóle takiej rozwiązłości artystycznej, na jaką sobie Shaw pozwala.

Artyści: Samborski, Stanisławski, Modzelewska, Romanówna, Daczyński, Karbowski, Kawińska, Staszewski, Wesołowski grali rzecz pięknie lub poprawnie. Dekoracje świetne. Reżyserja dobra.

Z. W.

ZMARLI

Ś. P. JAN BRONISŁAW RICHTER

Zmarł niespodzianie Jan Bronisław Richter, bibljotekarz Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Zmarł w Pradze, gdzie bawił czasowo na studjach slawistycznych.

Ś. p. Jan Bronisław Richter zaznaczył się już na niwie naukowej szeregiem prac, ogłoszonych drukiem, z których najważniejsze są następujące: „Pierwiastki indywidualistyczne w twórczości Mickiewicza" (1927). „Nowy pogląd na romantyzm" (1928). „Pamiętnik I. Zjazdu Bibljotekarzy polskich we Lwowie, (1929): nadto ogłosił sporą ilość artykułów i recenzyj w „Pamiętniku Literackim". „Ruchu Słowiańskim", „Myśli Narodowej". Brał też czynny udział w pracach Tow. Literackiego im. A. Mickiewicza, Klubu polsko-czeskiego we Lwowie; jako sekretarz Redakcji „Ruchu Słowiańskiego" położył poważne zasługi około organizacji tego tak potrzebnego czasopisma. W „Myśli Narodowej" drukowaliśmy piękny artykuł ś. p. Richtera w nr. 18 z r. 1927 p. t. „O zbliżenie nauki do życia".

Ś. P. JAN PTAŚNIK

We Lwowie zmarł prof. Uniwersytetu Jan Ptaśnik, zasłużony badacz dziejów średniowiecza, pierwszy prof. historji kultury polskiej, długoletni redaktor „Kwartalnika Historycznego". Był autorem znakomitego dzieła „Miasta w Polsce", o kulturze włoskiej w Polsce (1922), o dziejach drukarstwa w Krakowie (1922) „Kultura średniowieczna" t. I (1925). Był członkiem Akademji Umiej. i wielu tow. naukowych. Uczony niepospolity był też zacnym obywatelem. Urodzony r. 1875.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu S. Ponieważ pseudonim Digamma, przed wojną jeszcze używany przez red. Wasilewskiego, dawał pole do snucia nietrafnych domysłów, przeto nie chcąc narażać nikogo na odpowiedzialność za tę rubrykę, postanowił ją podpisywać nazwiskiem.

OD WYDAWNICTWA

Załączając do niniejszego numeru blankiet przekazowy P. K. O., prosimy naszych czytelników o odnowienie przedpłaty na kwartał II-gi.

OFENSYWA

SZWINDLE WSZÓW USKRZYDLONYCH

KOSZTOWNE, luksusowe reklamowanie p. ministra wojny ciągnie się dalej w zagranicznej prasie. Zarabia na tem ten sam gatunek rycerzy pióra co dawniej. W *„Chicago Tribune“* dużego fasonu obraz życia domowego, prywatnego zamieścił jeden z tutejszych korespondentów niejaki p. Nowiński. Ponieważ starozakonnik ten nie cieszy się zbytnim respektem i rewerencją swoich kolegów, przeto ani jedno z pism sanacyjnych, nawet „Polska Zbrojna“ w Ewerta, nawet „Poranniak“ (który świeżo pożarł się piekielnie z p. Antonim Potockim, przyczem obie strony duże psy na sobie wieszają) nawet tedy „Poranniak“ nowelki p. Nowińskiego nie umieścił, natomiast całość przetłumaczył i wydrukował dla uciechy i zabawy czytelników „Nasz Przegląd“. Cytować z tego nic nie będziemy, gdyż p. Nowiński pozwolił sobie na koncepty stanowczo nie licujące z jego tendencją i planami. Osoba portretowana przedstawiona jest patrjarchalnie i sielsko-anielsko na tle dzieci w ogródku, tak coś ze Świętego Franciszka, conieco z Cyncynata, trochę z Lincolna, z Wallensteina, *bon pére, bon mari, bonhomme*, do rany przyłóż, całość w takim sosie panegirycznym, że nawet „Gazeta Polska“ zażenowała się, powstydziła i ani słówka. Natomiast dowiedzieliśmy się z „Wiadomości Literackich“ że książka p. Landaua, w języku angielskim napisana, cieszy się w Ameryce „olbrzymiem powodzeniem“. Na jeszcze olbrzymsze powodzenie liczą, gdy wyjdzie, w czterech językach podobno tłumaczone, dzieło niejakiego Jellenty *alias* Hirschbanda o J. Piłsudskim jako znakomitym styliście oraz wytwornym i wykwintnym mówcy. Na imieniny gruby tom naszykował Jan Starzewski, wiszący obecnie przy paryskiej ambasadzie krakauerski karjerowicz (mąż Samozwańcy), w którym odezwała się krew Feintuchów po kądzieli i który postanowił sobie zdystansować wszystkich monografomanów marszałkowskich nową „koncepcją“ opacznościowego i głębokiem „podejściem“ do tematu.

Już to trzeba przyznać że Machabeje, półsemity, ćwierćkrwisemity jeszcze są wierni. Lada chwila to pęknie i szczury zaczną uciekać ze storpedowanego okrętu dyktatusia, ale na razie jeszcze się trzymają i tuczą. Tak było od samego początku. Kiedy na wstępie pierwszego dziesięciolecia Francja jeszcze niezbyt ufała Brygadjerowi, który odrazu pierwszego sprowadził hr. Kesslera do Warszawy, wtedy odrazu z gorącą apologją wystąpili w *„Temps“* z 18 marca 1919 Max Rosenthal a w *„Journal de Débats“* w grudniu r. 1918 niejaki Mühlstein. Ci przełamywali lody opinji publicznej w Paryżu, a obok nich całe grono Przedeckich, Baderów, Siehmanów, Aszkenazy. Cuckermann, Rosner, prof. Pinkus z Londynu, Izrael Cohen, Toeplitz i t. d.

Po maju 1926 znów wpadli w dziki szał radości. Po pierwszym telegramie do *„N.-York Times“* prof. Aszkenazego, wraz posypały się oświadczyny i komplementa. Rabin Schorr w Londynie na jakiejś konferencji rabinackiej mówił („Nowy Dziennik“ nr. 253. 1926):

„Marszałek Piłsudski jest człowiekiem bez zarzutu i jest mniej lub więcej dobrze usposobiony względem interesów żydowskich“.

Rabin Posner w Warszawie:

„Istotnie widzimy nową gwiazdę ratunku na zachmurzonem niebie życia polskiego, powstaje nowa siła, powołana do odbudowania państwowości polskiej. Jak ongiś Józef, syn Jakóba, patrjarchy, wyszedł z więzienia egipskiego, aby ratować kraj od śmierci głodowej, tak oto powstaje mąż wielki, Józef Piłsudski, by po latach cierpień za Polskę, tę Polskę na wspaniałych fundamentach odbudować“.

Niejaki Meisels pisał w italskiej prasie z Warszawy: „Pod rządami Grabskiego i Witosa chaos polityczny i korupcja moralna doszły do szczytu. Marszałek Piłsudski nie mógł współpracować z ludźmi tego rodzaju; podał się tedy do dymisji i zamieszkał w Sulejówku. Jednakże podczas tych trzech lat marszałek uświadamiał sobie coraz jaśniej, że jego nieobecność przy sterze nawy państwowej może narazić tę nawę na najgroźniejsze niebezpieczeństwa i zaprzepaścić owoce jego trudów i zwycięstw. Po maju roku 1926 mógł się ogłosić dyktatorem, nie zrobił tego jednak, ponieważ jest prawdziwym demokratą“.

W ostatnich czasach panegiryczeli w niebogłosy na przemiany Klingsland, Hirschband, E. Krakowski, Merwin Menkes, Oryng, jeden z Hertzów, M. Sachs, Nussbaum, Handelsmann, Manes Marmurek, Benedikt, drugi Handelsmann, Cuckermann, Wasserzug i t. p. tysiąc, legjon także i żydów zagranicznych (Maurois, Ludwig).

Sprzykrzyło się to publicyście z „Poranniaka“, którego G. Zapolska opisała ongiś w powieści „Antysemitnik“. Postanowił sobie wyciągnąć skądś raz za wszelką cenę jakiegoś rzetelnego Aryjczyka. A że nie znalazł, więc puścili się tam w Porannej „Oborze łajnych celów“ na nową „sensację“. Że to z powodu upadku dyktatury hiszpańskiej Unamuno teraz w modzie, więc w „Kurjerze Porannym“ pojawiło się ni stąd ni zowąd jakieś wpomnienie w Paryżu, gdzie w kawiarni wielki pisarz zetknął się z jakimś fikcyjnym J. Br. który tak pisze jak z nut:

„Unamuno zaczął mnie rozpytywać o Polskę, dzieje Legjonów, o których wiedział, jak i o życiu i dziele ich Twórcy, Józefie Piłsudskim — oczywiście ze źródeł jedynie niemieckich — w nowem i patetycznem ujęciu zaciekawiły go tak dalece, że umówił się ze mną na dzień następny, prosząc, by mu przynieść zamiast wszelkich drukowanych materjałów, samą jeno... fotografję Komendanta. Spotkałem go znów, tym razem na tarasie kawiarni, przy której stolikach tyle już historycznych postaci obecnych dziejów Europy siadywało, gdzie znów otoczony był wieńcem głów rozpromienionych jedną wspólną tęskonotą i miłością dla zamkniętej przed nimi słonecznej ziemi Hiszpanji. Unamuno, twórca przedziwnej książki pod tyt.: „Nic, tylko poprostu człowiek“, znawca i komentator Nietzschego, ten współczesny „Pascal Hiszpanji“ długo patrzył na zwykłą pocztówkę, z której wyzierała twarz niezwykła, rysy znane tak dobrze każdemu z nas, Odnowiciela Ojczyzny.

„Jest w tej twarzy wiele takiego, co mnie do niej zbliża dochowo. Uderzające podobieństwo do Nitzsche'go, który przecież był także Słowianinem i znów ten sam nieodzowny w każdej wielkości i prawdzie rys tragicznego poczucia życia, zmaganie się z jego małością i upodleniem. Rozumiem, mówi, że takim mógł być jedynie Wódz duchowy narodu, który musiał wreszcie odzyskać swą niepodległość. Niech pan porówna tę twarz rzekł, zwracając się do jednego z Katalańczyków, o którym już wiedziałem, że z nieustraszoną odwagą raz po raz przebywa granicę hiszpańską, by przywieźć tam słowa płomienne Unamuny, do twarzy każdego z wielkich, ale zawodowych generałów i wojskowych, sławnych w czasie wojny. Tamte są zastygłe w formalizmie i zawodowości rzemiosła wojennego. To jest Żołnierz-Twórca i, kto wie, dodał z uśmiechem, czy nie wielki artysta?“.

Jakże to pamięć bajeczną ma ten osobnik z „Poranniaka“, że tak dokładnie bez zająknięcia reprodukuje zdania Unamuny! Jak się wabi ten J. Br. taką obdarzony pamięcią? Czemu się z tem nie produkuje? Na estradach!

Nie! Miłe, obiecujące chłoptasy! Wy się stanowczo mylicie! Tak pewnie mówił Erenburg siadujący w Rotondzie a Ehrenbergowi coś się uwidziało...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Sekretarz uniwersyteckiej bibljoteki publicznej w Wilnie, Michał Brennstein, pracujący nad genealogją rodu Piłsudskich, odnalazł — jak d. 26 z. m. donosi „Kurjer Czerwony“ — dokument, z którego wynika, że już w 18 wieku protoplasta Józefa, Kazimierz Piłsudski, był komandorem maltańskim. Przypominamy wnikliwemu badaczowi jeszcze jednego z antenatów marszałka, bliższego naszym czasom, którego imię chrzestne i linję potomków powinno się dla naukowej ścisłości ustalić. Oto w dziele p. t. „Historja dwóch lat“ (1861 — 1862) przez Z. L. S. (W. Przyborowskiego), Kraków 1894, na str. 446 — 447, znajduje się następujący cytat, wyjęty z broszury p. t. *„Die Forläufer des polnischen Aufstandes“* str. 148:

„Jenerał-gubernatorstwo warszawskie po Gerstenzwejgu objął Krzyżanowski, człowiek jaknajgorszych instynktów, należący z przekonań do stronnictwa niemiecko-rosyjskiego, ultra reakcjonistów, wierzący tylko w pięść i surowe rządy wojskowe. Rozwinął on gwałtowny terroryzm w kraju, chwytał winnych i osadzał ich w Cytadeli, gdzie tajne sądy rozpoczęły prawdziwe swe saturnalja. Dopomagał mu w tym względzie oberpolicmajster Piłsudski, który oburzał się na to, że „ludzie chodzą sobie ulicami Warszawy, jakby stan wojenny wcale nie istniał“, a podwładnej sobie służbie policyjnej wyznaczał nagrody, jeżeli więcej osób przyaresztowała na mieście“.

*

Rozmaite, będące w modzie, przemianowania ulic i placów, wywołują czasami wcale trafne uwagi. Jakaś dama, wsiadłszy do autobusu na Brackiej, zażądała od konduktora biletu do „placu Saskiego“. Nie spodobało się to jednemu z pasażerów, który poprawił ją dość ostrym tonem, jak się plac teraz nazywa.

— Mój panie—odpowiedziała dama—całą Polskę przemianowano kiedyś na Priwiślinskij Kraj, a przecież z powrotem nazywa się Polską.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM